

WYWIAD

Dorota Wellman: Nie dałam się przeformatować. Jestem twardą babką

STR. 10-11



SPORT

Iga Świątek w Indian Wells nie przełamała tegorocznej niemocy. Czas na Miami

STR. 22



dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 16.03.2026
Nr 22 (2533)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



BEZPIECZEŃSTWO

Rząd wdraża SAFE jako Program Polska Zbrojna

Ministrowie dostali zielone światło. W Monitorze Polskim opublikowano uchwałę Rady Ministrów w sprawie Programu Polska Zbrojna. Dokument upoważnia ministrów obrony i finansów do podpisania umowy dotyczącej unijnego programu SAFE. Zgodnie z uchwałą spłata pożyczki ma nastąpić ze środków niewliczanych do minimalnego limitu wydatków na obron-

ność. Zgodnie z przyjętym dokumentem minister obrony koordynuje wykonywanie działań wynikających z założeń SAFE i złożonego przez Polskę w jego ramach wniosku.

Szef resortu obrony reprezentuje Polskę w kontaktach m.in. z Komisją Europejską, a także monitoruje sporządzanie raportów w tej sprawie.

Dokument przewiduje objęcie wykorzystania środków z SAFE osłoną antykorupcyjną i kontrwywiadowczą realizowaną przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służbę Kontrwywiadu Wojskowego i Centralne Biuro Antykorupcyjne. Sprawozdanie w tej sprawie ma przedstawić minister-koordynator służb specjalnych.

STR. 4



FOT. ADAM JANKOWSKI

Tak ostro jeszcze nie było

Weto prezydenta w sprawie unijnego programu SAFE to przekroczenie pewnej granicy, bo bezpieczeństwo kraju znalazło się w centrum politycznego sporu

STR. 3

W piątek magazyn Puls

● Diagnoza Młodzież 2026 – aż 60 proc. nastolatków żyje w chronicznym stresie i przemęczeniu, 40 proc. wykazuje objawy depresji

Marek Twaróg
redaktor naczelny Polska Press Grupy



TO KROK DO POLEXITU

Prezydent Nawrocki w razie weta dopuściłby się zdrady stanu – już dawno zawyrokował prezydent Komorowski, za co dostało mu się od wydelikanych publicystów, którzy mocne słowa akceptują tylko w ustach pravicowych radykałów.

Ale to prawda. Odrzucając SAFE, Nawrocki oparł bezpieczeństwo Polski na kłamstwie, kreatywnej księgowości i przekonaniu, że obywatele państwa, na czele którego stoi, są głupcami.

Prezydent RP chyba przypadkowo obnażył cały swój polityczny modus operandi.

1. Całe bezpieczeństwo Polski opiera na politycznym PR, od dawna wie, że można Polakom wmówić wszystko. Można wmówić wszystko, bo o wielu sprawach nie mają pojęcia, a już na pewno nie mają pojęcia o działalności banku centralnego, rezerwach, odsetkach, odpisach księgowych. Dlatego uwierzą – uważa Nawrocki – że nagle Polska jest bogatsza o 200 mld złotych (SAFE 0%). I nie będą pytać, dlaczego ułamek z tych 200 mld nie znalazł wcześniej na przykład na ratowanie zdrowia Polaków i naprawianie systemu zdrowia.

2. Zakwestionował kompetencje i wiedzę polskiej armii – tak wprost to nowość – która jest przekonana, że pożyczka SAFE jest korzystna dla rozwoju naszej obronności, zamiast tego zawierzył figurom pokroju Marcin Przydacz i Sławomir Cenckiewicz. Nad którymi honorowy patronat sprawuje Jarosław Kaczyński ze swoimi pierwotnymi fobiami unijnymi i niemieckimi.

3. Wiara w administrację Trumpa – jej obietnice, przewidywalność, honor, wartości – wydaje się niezachwiana, co jest ewenementem w skali świata. Bez wątplenia bowiem Nawrocki działa w myśl amerykańskiego biznesu.

4. Nawrocki czuje się silny politycznie lub jest kompletnie nieświadomy swoich przewag i słabości (bardziej możliwe), bo otwarcie zlekceważył potrzeby polskiego przemysłu zbrojeniowego. Stalowa Wola, Jelcz, Starachowice, Radom, Gliwice, Skarżysko to tylko kilka z kilkunastu tysięcy firm, które mogły lepiej prosperować.

5. Długoterminowym celem Nawrockiego jest zakwestionowanie obecności Polski w Unii Europejskiej. Co nie powinno dziwić nikogo, kto śledzi działalność pravicowych ekstremistów, do których prezydent niebezpiecznie się zbliża. Odrzucenie unijnego SAFE jest bowiem jednym wielkim votum nieufności wobec Unii. Być może też wobec całego porządku europejskiego ufundowanego na prymacie demokracji i dążeniu do wspólnego bezpieczeństwa.

Tu zabrnęła Polska w zaledwie 22 lata od wejścia do UE, co zapoczątkowało najlepszy okres naszego kraju we współczesnej historii.

TWÓRCA BAROKOWEJ MUZYKI ZE ŚLĄSKA

Dzisiaj chcę opowiedzieć o Ślązaku, który urodził się w Rozbarku, dziś dzielnicy Bytomia. Jeśli Ślązak – to przypuszczacie Państwo pewnie, że górnik albo hutnik? Nic z tych rzeczy – to kompozytor. Śląsk dostarczył polskiej kulturze wielu wybitnych muzyków, między innymi Wojciecha Kilara czy Henryka Miłkołaja Góreckiego, ale bohater mojego dzisiejszego felietonu żył i tworzył na długo przed nimi, bo pod koniec XVII wieku. Nazywał się Grzegorz Gerwazy Gorczyca, ale gdy po studiach na Uniwersytecie Karola w Pradze i na Uniwersytecie Wiedeńskim, gdzie został księdzem, a potem przybył pod koniec 1689 roku do Krakowa, zmienił nazwisko na Gorczycki. Został szybko doceniony i 10 stycznia 1698 r. otrzymał stanowisko kapelmistrza Katedry Wawelskiej z tytułem Magister Capellae Musicae Ecclesiae Cathedralis Cracoviensis. Jego działalność w zakresie wspierania instytucji kościelnych i charytatywnych była na tyle znacząca, że

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



po śmierci nazywano go „Gemma Sacerdotum”, co oznacza „klejnot kapłaństwa”, ale ja chcę skupić się na jego kompozycjach muzycznych, które bywają wykonywane do dziś w ramach koncertów muzyki barokowej.

Większość kompozycji Gorczyckiego zachowała się w Archiwum Kapituły Katedry na Wawelu, a także w archiwum kościoła parafialnego w Rakowie Opatowskim. Jego ulubionym fragmentem muzycznym było tak zwane Completorium – utwór muzyczny grany na zakończenie mszy. Warto zwrócić uwagę na to, że właśnie z muzyką Gorczyckiego w uszach wierni wychodzili przez całe lata z Katedry Wawelskiej.

Jego działalność kompozytorska była dostrzegana i doceniana także przez władze ko-

ścielne, w związku z czym w roku 1702 otrzymał dodatkowe wynagrodzenie w postaci prebendy, czyli honorarium przyznawanego duchownym. Prebenda Gorczyckiego zwana angelicką związana była z jego działalnością w zespole wokalnym kaplicy św. Stanisława, a także z pracami kompozytorskimi na rzecz kościoła Bożego Miłosierdzia, gdzie Gorczycki od 1772 r. pełnił rolę proboszcza.

Do najsłynniejszych utworów Gorczyckiego należą: Completorium I i II (zaginione), Conductus, Alleluia. Ave Maria gratia plena, Iudica me Deus, Laetatus Sum, Missa Paschalis, Omni die, Stabat Mater... eia Mater. Dzisiaj poza wąskim kręgiem miłośników muzyki barokowej utwory te nie są znane, ale pod koniec XVIII wieku znała je cała Polska, w związku

z czym właśnie Gorczyckiemu powierzono skomponowanie utworu „Conductus funebris” wykonywanego z okazji uroczystości w rocznicę śmierci króla Augusta II Mocnego.

Grzegorz Gerwazy Gorczycki zmarł 30 kwietnia 1734 r. w Krakowie. Pamięć Gorczyckiego czczą na Śląsku (jego imię nadano Państwowej Szkole Muzycznej I stopnia w Rudzie Śląskiej), a także w Krakowie (umieszczono tablicę pamiątkową w Katedrze Wawelskiej).

Muzyką barokową interesuje się w Polsce obecnie bardzo ograniczone grono miłośników. Niemniej w koncertach dawnej barokowej muzyki kompozycje Gorczyckiego zwykle się pojawiają. Na przykład w 2025 roku w koncercie finałowym festiwalu Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej wykonała „Muzykę na wodzie” Händla, Symfonię „Jowiszową” Mozarta oraz „Poloneza balowego” jedyne zachowanego świeckiego dzieła Gorczyckiego.

W dobrym towarzystwie się ten śląsko-krakowski kompozytor pokazuje!

DZIWNE FILMY ZNANYCH POLSKICH REŻYSERÓW

Twórczość Romana Polańskiego i Andrzeja Wajdy wszyscy znają, tak się w każdym razie wszystkim wydaje. Mało kto wie, że przed „Pianistą”, „Dzieckiem Rosemary”, „Panem Tadeuszem” czy „Człowiekiem z Marmuru”, panowie kręcili inne filmy, dziś raczej nieznane. A szkoda, bo są dość przerażające, a jednocześnie zabawne.

„Morderstwo” (Roman Polański). Film jedynominutowy, bez dźwięku. Mężczyzna w płaszczu wchodzi do pokoju, w którym na łóżku leży nagi facet i śpi. Ten w płaszczu wyciąga brzytwę i wbija śpiącemu w pierś, po czym wychodzi, zostawiając nas z rozdzielionymi ustami naprzeciw napisu „koniec”. Nie

Tadeusz Płatek
publicysta



wiemy, kto kogo zabił, dla czego, po co i czy mordercę czeka kara.

„Uśmiech zębiczny” (Roman Polański). Film dwuminutowy, bez dźwięku. Facet schodzi po schodach kamienicy, zagląda przez wychodzące na klatkę schodową okienko łazienki, w której akurat kąpie się piękna kobieta. Widać jej piersi, wyciera sobie głowę ręcznikiem, nie widać więc jej twarzy, nie jest też świadoma podglądacza, który lubieżnie się uśmiecha przez chwilę. Z mieszkania ko-

biety wychodzi facet, by zostawić na progu butelki po mleku.

„Rozbijemy zabawę” (Roman Polański). Młodzież z dobrych domów bawi się na imprezie zamkniętej. W pewnym momencie zjawiają się chuligani z pod ciemnej gwiazdy i brutalnie realizują tytuł. Porażający realizm filmu wynika z faktu, że Polański zaprosił nieświadomych aktorów i nasłał (bez ich wiedzy) wynajętych typów, po czym to nakręcił. Wszystko dla sztuki.

„Przekładaniec” (Andrzej Wajda). Film futurystyczny z 1968 roku (na podstawie tekstu Lema), którego akcja dzieje się w 2000 roku.

Kierowca rajdowy ma kosztowne wypadki, po których trafia do szpitala, gdzie jest składany z fragmentów innych ludzi, w tym własnego brata – pilota rajdowego. Sprawa komplikuje się, gdy rodzina brata, już po pogrzebie, nie może dostać odszkodowania, bo brat, a konkretnie jego narządy, wciąż żyją w kierowcy i innych biorcach.

Sprawa komplikuje się bardziej, gdy w kolejnych krak-sach giną i stają się dawcami wdowa po bracie i pies buldog.

Miłego oglądania klasyków polskiej kinematografii.

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

PREZYDENT KONTRA RZĄD. WOJNA TOTALNA

Zapowiedź weta prezydenta w sprawie unijnego programu SAFE to przekroczenie pewnej granicy. Bo oto sprawy bezpieczeństwa kraju znalazły się w centrum politycznego sporu. W dobie wojny za naszą wschodnią granicą i tą na Bliskim Wschodzie sytuacja zdaje się poważna i rodzi pytania o to, dokąd prowadzą nas decyzje prezydenta Nawrockiego

Dorota Kowalska

Sprawa unijnego programu SAFE i zapowiedź weta prezydenta Nawrockiego przeniosła spór między dużym i małym pałacem na zupełnie nowy poziom. To już nie jest kolejna bitwa, to wojna totalna. Przekroczona też została pewna granica, niepisane porozumienie między rządem i opozycją, bo do tej pory sprawy bezpieczeństwa kraju były wyjęte poza nawias sporu politycznego. Teraz znalazły się w jego centrum. - Nazwijmy rzecz po imieniu. Ci, którzy mówią, że to wstęp do polexitu, do wyjścia Polski z UE, mają niestety coraz więcej racji. Nie jestem historykiem, ale pamiętam dokładnie te punkty zwrotne w historii Polski, miałem zaszczyt uczestniczyć w wielu działaniach - stwierdził premier Donald Tusk w TVP Info.

- Pamiętam premiera Bieleckiego, który podjął decyzję, że Polska jako pierwsza uznała niepodległość Ukrainy, pamiętam jak premier Mazowiecki wsparł ideę zjednoczenia Niemiec i pamiętam jak Niemcy walczyli o to, aby Polska szybko trafiła do UE. Pamiętam wielką narodową zgodę, kiedy wchodziliśmy do NATO - mówił dalej.

I tłumaczył, że to były wielkie zdarzenia, które uczyniły Polskę bezpieczną, a dzisiaj „mamy naprzeciwko siebie gości, którzy stają na głowie, żeby te fundamenty polskiego bastionu, tej twierdzy bezpieczeństwa, wywrócić do góry nogami”.

- Na pewno sytuacja robi się niebezpieczna. Nie jestem psychoanalitykiem, nie będę bawił się w recenzowanie osobowości prezydenta czy innych moich oponentów. To sprawa drugorzędna, natomiast to, co dzieje się w polityce za sprawą prezydenta Nawrockiego i panów z opozycji, to to jest bardzo niebezpieczna sytuacja - stwierdził premier Tusk w TVP Info. - Niczego tak się nie boją, prezydent, prezes, drugi prezes, jak odbudowy naprawdę praworządne państwo. Bo gdybyśmy byli w stanie odbudować, na razie nie, bo blokuje ustawy, w pełni praworządne instytucje, niezależny system prawa, niezależne sądownictwo, trybunały, to ci, którzy nabroili tak bardzo



Niektórzy komentatorzy sceny politycznej zauważają, że prezydent Nawrocki zachowuje się jak „nadpremier”

w przeszłości, mieliby się naprawdę czego obawiać - dodał.

W tym samym czasie Karol Nawrocki na spotkaniu z sympatykami w Chmielniku, komentując weto dla ustawy wdrażającej unijny program SAFE tak mówił o Unii Europejskiej: „Uznaję, że decyzje dotyczące polskiej wolności, suwerenności, bezpieczeństwa, rozwoju polskich sił zbrojnych, przemysłu zbrojeniowego, są decyzjami zwierchnika polskich sił zbrojnych, a nie Brukseli, nie Unii Europejskiej”.

Może więc obawy premiera nie są bezpodstawne, w każdym razie o polexicie nie mówi tylko Donald Tusk.

„Pan prezydent zebrał już ponad dwa tuziny wet. Ale to jest szczególne - stanowi prawdziwą perłę w prezydenckiej koronie. Prezydent zawetował ustawę wdrażającą w Polsce unijny program SAFE. To warta prawie 200 mld zł zbrojeniowa pożyczka rozpisana na 45 lat. Nawrocki mnoży swe argumenty przeciw SAFE, ale zasadnicze powody są dwa. Po pierwsze - nie chce zadzierać ze swym patronem w Białym Domu, który zażądał weta, bo nie chce, żeby Unia wzmacniała własną zbrojniczkę i ograniczała zakupy

z USA. A po drugie, Nawrocki jest zdeklarowanym przeciwnikiem Unii Europejskiej i nie zamierza się godzić na kredyt, który wiąże Polskę z UE na niemal pół wieku. Pan prezydent chce, żeby Polska opuściła Unię nieporównanie szybciej, niż za 45 lat, więc nie mógł się zgodzić, by kredyt utrudniał polexit” - twierdzą Andrzej Stankiewicz i Kamila Dziubki, twórcy słuchowiska politycznego „Stan Wyjątkowy”.

Sprawa, rzeczywiście, jest poważna. Nie bez powodu, o wecie prezydenta Nawrockiego rozpisały się światowe media.

Polska jest „jedynym krajem, w którym SAFE stał się kwestią polityczną” - napisał w czwartek portal Politico, dodając, że „im-pas ten nieuchronnie zaostrzy spór między Tuskiem a prezydentem o polityczną orientację Polski”.

Politico odnotowało, że po ogłoszeniu przez Nawrockiego, że zawetuje ustawę w sprawie SAFE, wiodący politycy koalicji rządzącej ostro skrytykowali jego decyzję, nazywając ją m.in. „zdradą narodową”. „Prezydenckie weto będzie też sprzeczne ze stanowiskiem wojska, którego najwyżsi dowódcy opowiedzieli się za skorzysta-

niem z unijnego programu” - napisał portal.

„Le Figaro” zauważa, że „nacionalistyczny prezydent i opozycja, blisko związani z Waszyngtonem, uważają, że SAFE wykluczy amerykańskie firmy zbrojeniowe” z przyszłych kontraktów, przez co Polska trafi „pod niemiecki but”. Gazeta podkreśla jednocześnie, że unijny program „jest popierany przez ponad połowę Polaków, podczas gdy według ostatnich sondaży sprzeciwia mu się tylko co trzeci, a nawet co czwarty ankietowany”.

„Le Monde” pisze, że prezydent Nawrocki pozostaje wierny Prawu i Sprawiedliwości, co jest zgodne z narodowo-konserwatywną linią partii. I zarzuca PiS, że „postanowiło grać na suwerenistycznych i często antyniemieckich nastrojach swego elektoratu - i również elektoratu skrajnej prawicy - nawet wycofując się z ocen pochwalających SAFE ogłoszonych przed sześcioma miesiącami”.

Karol Nawrocki tymi opiniami zbytnio się nie przejmując, w każdym razie, po zapowiedzi wecie blokującego wejście w życie ustawy wprowadzającej unijny program SAFE, podjął decyzję o zawetowaniu kolejnej ustawy, tym razem tej związanej ze zmianą Kodeksu postępowania karnego.

„Decyzja została podjęta z troski o bezpieczeństwo obywateli i skuteczność państwa w walce z najgroźniejszą przestępczością. Przyjęcie pojedynczych rozwiązań korzystnych, nie jest wystarczającą przesłanką do podpisania ustawy. Nowe przepisy mogłyby bowiem utrudniać prowadzenie postępowań karnych, co byłoby sprzeczne z interesem obywateli i obowiązkiem państwa do zapewnienia im bezpieczeństwa” - napisał na X Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta.

W mediach Leśkiewicz straszy, podobnie jak Karol Nawrocki i opozycja, że jeżeli koalicja rządząca wprowadzi plan B, czyli wykorzysta unijne pieniądze do programu SAFE, mimo weta prezydenta, naruszy prawo i kiedys za to odpowie.

Plan B zakłada, że minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamys oraz minister finansów i gospodarki Andrzej

Domański podpiszą umowę dotyczącą SAFE, a pożyczka z SAFE zostanie zaciągnięta przez Bank Gospodarstwa Krajowego na rzecz Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. To Fundusz utworzony na mocy przyjętej w 2022 roku Ustawy o obronie Ojczyzny, którą firmował ówczesny wicepremier ds. bezpieczeństwa Jarosław Kaczyński. Pieniądze trafią do wojska, niestety nie do innych służb mundurowych, do których trafiłyby, gdyby normalną drogą wdrożono europejski SAFE.

Cóż, relacje między prezydentem a ekipą rządzącą od początku nie należały do łatwych, niektórzy mówią wprost o otwartej wojnie prowadzonej między dwoma pałacami. Prezydent Nawrocki nigdy nie ukrywał, że zrobi wszystko, aby utrudnić życie koalicji 15 października. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu siedmiu miesięcy urzędowania zawetował więcej ustaw niż Andrzej Duda podczas 10 lat swojej prezydentury. Przy okazji zwrócił się do rządu oraz premiera Donalda Tuska o konsultowanie projektów ustaw „już na wczesnym etapie prac”.

Na decyzję prezydenta zareagował w mediach społecznościowych między innymi minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski.

„Pan Prezydent chciałby, aby rząd prosił go o zgodę na procedowanie ustaw tak, jak prezydent Duda chciał, abym prosił o zgodę o kogoś mogę wnioskować o powołanie na ambasadora. Nie ma na to cienia podstawy prawnej. Trzeba było przeczytać konstytucję przed decyzją o kandydowaniu” - napisał wówczas.

Niektórzy komentatorzy sceny politycznej zauważają, że prezydent Nawrocki zachowuje się jak „nadpremier”, w każdym razie próbuje nadać ton pracom rządu. Najwidoczniej widzi to także Donald Tusk, pewnie stąd jego słowa o tym, że „prezydent jest od reprezentowania, a rząd od rządzenia”.

Nawrocki walczy więc tam, gdzie może. W połowie listopada ubiegłego roku Pałac Prezydencki zablokował awanse ponad 100 funkcjonariuszy i żołnierzy ABW oraz SKW. Pretekstem miała być odmowa stawienia się

u głowy państwa przez szefów służb specjalnych.

Krótko po tej decyzji RMF FM nieoficjalnie poinformowało, że Pałac Prezydencki jest w konflikcie z ABW i SKW, a decyzja Nawrockiego jest zemstą. W Kancelarii Prezydenta podejrzewają ponoć, że to właśnie z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wyszła informacja o sprawie kawalerki pana Jerzego w kampanii wyborczej. Agencja miała też robić wszystko, aby Nawrocki nie został głową państwa. Służba Kontrwywiadu Wojskowego miała z kolei podpaść odebraniem prezydentowi dostępu do tajemnic szefowi Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomirowi Cenciewiczowi. Z kolei Onet pisał, że powodem wojny o awanse w służbach mają być rosnące wpływy ludzi Antoniego Macierewicza na funkcjonowanie Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Nawrocki odmówił także przyznania odznaczeń i orderów funkcjonariuszom ABW, także tym, którzy mieli zostać odznaczeni w związku ze zwalczaniem wrogich aktów dywersji.

Wcześniej Karol Nawrocki nie podpisał nominacji 46 sędziów. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek stwierdził wówczas, że „tego typu podejście do procesu nominacji jest łamaniem polskiej konstytucji”. Lista „odrzuconych” sędziów była bowiem poprzedzona jedynie jednozdaniowym stwierdzeniem: „Odmawiam nominacji niższej wskazanym osobom”, bez jakiegokolwiek argumentacji. Ale może chodzi o to, że sędziwie, którym prezydent odmówił nominacji, wcześniej podpisali dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej.

Nawrocki otwarcie też krytykuje rząd, mówi, że Donald Tusk jest najgorszym premierem w historii III RP.

Teraz jednak w grę wchodzi bezpieczeństwo kraju, bo za programem SAFE opowiadali się nie tylko politycy koalicji rządzącej i większość Polaków, ale i wojskowi. Może stąd w stronę polityków opozycji i samego Karola Nawrockiego padają oskarżenia o „narodowej zdradzie”. PAP

PROGRAM POLSKA ZBROJNA PRZYJĘTY UCHWAŁĄ RZĄDU

Program „Polska Zbrojna” to rządowy plan B po wecie prezydenta. Dokument upoważnia ministrów obrony i finansów do podpisania umowy dotyczącej unijnego programu SAFE. Zgodnie z uchwałą spłata pożyczki ma nastąpić ze środków niewliczanych do minimalnego limitu wydatków na obronność

Magdalena Konczal, Robert Szulc

Dokument upoważnia ministra obrony narodowej oraz ministra finansów i gospodarki do reprezentowania polskiego rządu i podpisania w jego imieniu umowy oraz dokumentów dotyczących pożyczki SAFE, którą Bank Gospodarstwa Krajowego zaciągnie na rzecz Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Zobowiązania finansowe BGK z tytułu pożyczki SAFE zostaną objęte gwarancją Skarbu Państwa. Jak wynika z uchwały, spłata pożyczki nastąpi ze środków, które nie są wliczane do minimalnego limitu wydatków na obronność. Zgodnie z przyjętym dokumentem minister obrony koordynuje wykonywanie działań wynikających z założeń SAFE i złożonego przez Polskę w jego ramach wniosku.

Kontrola, audyt i osłona służb

Uchwała zobowiązuje podmioty administracji rządowej realizujące projekty z SAFE do zapewnienia funkcjonowania wewnętrznego systemu kontroli wykorzystania środków. Ma on obejmować kontrolę realizacji projektów, identyfikację ryzyka i zapobieganie nadużyciom. Za audyt gospodarowania środkami z pożyczki SAFE odpowiadać ma szef Krajowej Administracji Skarbowej.

Dokument przewiduje również objęcie wykorzystania środków z SAFE osłoną antykorupcyjną i kontrwywiadowczą realizowaną przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służbę Kontrwywiadu Wojskowego i Centralne Biuro Antykorupcyjne. Sprawozdanie w tej sprawie Radzie Ministrów co roku ma przedstawiać minister właściwy do spraw koordynowania działalności służb specjalnych.

Ponadto rząd deklaruje kontynuację działań na rzecz pozyskania środków finansowych także na wsparcie zadań realizowanych przez Policję, Straż Graniczną, Służbę Ochrony Państwa oraz na rozwój infrastruktury drogowej i kolejowej służącej zwiększeniu bezpieczeństwa państwa.

Kto czeka na SAFE?

Dolnośląskie: Zagrożona rozbudowa potęgi Jelcza

Na Dolnym Śląsku weto uderza w samo serce produkcji podwozi dla polskiej armii. Spółka Jelcz sp. z o.o. realizuje obecnie historyczne zamówienia na potrzeby systemów HIMARS i K2.

Głos z firmy: Przedstawiciele zakładu wskazują, że dzięki SAFE Jelcz miał szansę na gigantyczny skok technologiczny. „Naszym celem jest osiągnięcie zdolności produkcyjnych na poziomie 1800 pojazdów rocznie. Weto to hamulec dla rozbudowy hal nowoczesnych linii montażowych, które są niezbędne, by sprostać tempu modernizacji polskiej armii” – płynie sygnał z fabryki. Perspektywa regionu: Lokalne władze podkreślają, że osłabienie Jelcza to osłabienie całego regionu, który stał się logistycznym zapleczem dla wschodniej flanki NATO.

Wielkopolska: „Cios w nasze bezpieczeństwo”

W Poznaniu i okolicach weto prezydenta odebrano jako bezpośrednie uderzenie w strategiczne Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne (WZM).

Agata Sobczyk, wojewoda wielkopolska: „To cios w kierunek naszego spokoju i bezpieczeństwa. Decyzja ta jest kompletnie niezrozumiała w sytuacji,

gdy musimy budować odporność państwa. Wielkopolska zbrojeniówka potrzebuje tych środków tu i teraz”. Głos z WZM: Przedstawiciele poznańskich zakładów, które mają stać się centrum serwisowym dla czołgów Abrams, alarmują: „Musimy mieć zapewnione środki na przygotowanie infrastruktury. Bez SAFE tempo prac nad hubem serwisowym dla najnowocześniejszego sprzętu pancernego w tej części Europy może zostać drastycznie spowolnione”.

Kujawsko-Pomorskie: Szansa, która wymyka się z rąk

W tym regionie aż 899 firm wiązało swoje plany z instrumentem SAFE. Szczególnie dotkliwie odczuwają to Grudziądz i Bydgoszcz.

Zarząd WZU w Grudziądzu: „Instrument SAFE to dla nas ogromna szansa na wzmocnienie potencjału spółki oraz całego krajowego przemysłu obronnego. Te środki miały pozwolić na modernizację technologiczną, która jest niezbędna, by

nasze produkty pozostawały konkurencyjne i skuteczne na nowoczesnym polu walki”. Michał Szybel, wojewoda kujawsko-pomorski: Zwraca uwagę na skalę problemu, wyliczając setki lokalnych przedsiębiorców-kooperantów, którzy zostali odcięci od unijnego wsparcia na zwiększenie produkcji obronnej.

Śląskie: 1600 firm w zawieszaniu

Śląsk, jako najbardziej uprzemysłowiony region, liczył na największy strumień pieniędzy.

Wojciech Saługa, marszałek województwa śląskiego: „1647 firm ze Śląska czekało na te pieniądze. To nie są tylko wielkie koncerny, to setki małych i średnich przedsiębiorstw, które tworzą łańcuch dostaw dla armii. Prezydent jednym podpisem zablokował ich rozwój”. Eksperti o lokalnych firmach: Ekspert ds. bezpieczeństwa wskazuje na konkretny przykład śląskiej firmy (dostawcy sprzętu dla służb mundurowych), która

po wecie straciła możliwość finansowania produkcji: „Firma nie będzie mogła teraz realizować zamówień na kluczowy sprzęt dla Straży Granicznej czy Policji, bo instrument SAFE miał być gwarantem ich płynności przy dużych kontraktach”.

Małopolska: Tarnowski niepokój o karabiny

W Zakładach Mechanicznych Tarnów nastroje są minorowe. Regionalni politycy i związkowcy mówią o kryzysie po tarnowsku. A przecież z tego zakładu pochodzi osławiona „Bestia z Tarnowa” - czyli WLKM kal. 12,7 mm, który ma być jednym z efektorów systemu SAN (według planów - też ma zostać zakupiony ze środków SAFE).

Przedstawiciele lokalnych samorządów wskazują, że weto może sprawić, iż tarnowskie zakłady stracą wielkie zamówienie na karabiny i systemy obrony przeciwlotniczej. „To nie jest tylko kwestia zysku firmy, to kwestia tysięcy miejsc pracy w Małopolsce i tego, czy polski

żołnierz dostanie polską broń w terminie” - podkreślają komentatorzy w regionie.

Podkarpacie i Podlaskie: Głos z pierwszej linii frontu

Regiony bezpośrednio graniczące z Ukrainą i Białorusią patrzą na decyzję prezydenta przez pryzmat realnego zagrożenia.

Teresa Kubas-Hul, wojewoda podkarpacki: „Mam nadzieję, że nasze firmy zbrojeniowe mimo wszystko dostaną te pieniądze, ale weto to ogromna przeszkoda. Podkarpacie mogło zyskać miliardy złotych na wzmocnienie bezpieczeństwa i infrastruktury, która jest pod ciągłą presją”. Prof. Daniel Boćkowski (ekspert z Podlasia): „To uderza w strategiczne elementy ochrony państwa. Wstrzymanie finansowania SAFE to osłabianie naszej zdolności do szybkiego reagowania na zagrożenia hybrydowe na granicy”. Samorządowcy przygraniczni: Wykazują dużą powściągliwość w komentarzach, ale jak donoszą lokalne media, wśród mieszkańców panuje frustracja. Jeden z mieszkańców cytowany w reportażu gorzko podsumowuje: „Politycy się kłócą o miliardy, a nam do obrony i tak zawsze zostaną grabie”.

Lubelskie: Co ze Świdnikiem?

Województwo lubelskie obawia się o losy inwestycji w Świdniku, gdzie produkowane są śmigłowce dla polskiej armii.

Lokalni politycy: Pytają retorycznie, czy Świdnik straci szansę na nowoczesne linie produkcyjne. Podkreślają, że SAFE miał być „bezpiecznikiem”, który pozwoli firmom zbrojeniowym inwestować bez ryzyka utraty stabilności finansowej w przypadku nagłych zmian w budżecie krajowym.

Łódzkie, Świętokrzyskie i Opolskie: Setki firm czekają na pieniądze i kontrakty

Łódzkie: Szacuje się, że 500 firm z regionu jest poszkodowanych. „Straty idą w miliardy, to uderzenie w sektor wysokich technologii, który w Łódzkiem dynamicznie się rozwijał dzięki zamówieniom obronnym” - alarmują lokalne władze. Józef Bryk, wojewoda świętokrzyski: „To bardzo zła decyzja dla Polski i naszego województwa. Region świętokrzyski zbrojeniówką stoi, a weto prezydenta to hamulec dla takich zakładów jak Mesko”. Opolskie: MON wylicza, że na wecie straci nawet 200 firm z Opolszczyzny. Lokalne media wskazują, że dla wielu z nich fundusze z SAFE były jedyną drogą na przeskoczenie z produkcji cywilnej na potrzeby sektora obronnego.



Minister obrony Władysław Kosinik-Kmysz będzie podejmował decyzje wraz z ministrem finansów

FOT. ADM JANKOWSKI

„Lepiej być zadłużonym niż okupowanym” – w czasie debaty o SAFE Radosław Sikorski z mównicy sejmowej zacytował Jarosława Kaczyńskiego.

Te słowa Kaczyński wypowiedział w 2022 r. i dzisiaj są dokładnie tak samo aktualne. Jesteśmy właśnie po decyzji prezydenta o zawetowaniu ustawy uruchamiającej program SAFE. Mam przyświadczenie, że to weto mu zostanie zapamiętane podwójnie. Po pierwsze, zablokował program bardzo ważnych zakupów dla polskiej armii, których dzisiaj bardzo potrzebujemy. Po drugie, zrobił to w symbolicznym dniu. Akurat 12 marca przypadła 27. rocznica wejścia Polski do NATO.

Karol Nawrocki celowo wybrał ten dzień – odwoływał się do tej samej symboliki. Natomiast jego weto nie było polemiką z samą potrzebą dozbrajania polskiej armii. Bardziej mu chodziło o model finansowania tego procesu. On jasno powiedział: wolę się zadłużać w Polsce niż się za granicą. Czy to nie jest tak naprawdę serce tego sporu?

Na temat pożyczki SAFE rozmawiamy od dłuższego czasu. Przypomnę, że jeszcze we wrześniu Mariusz Błaszczak wzywał, żeby po tę pożyczkę szybko sięgnąć. Nie ma żadnych wątpliwości, że jeżeli możemy sięgnąć po dwa źródła finansowania zakupów dla polskiej armii, to powinniśmy tak zrobić. Oddzielna sprawa, że świeży projekt prezydencki „SAFE o proc.” tak naprawdę nie pokazuje źródła finansowania.

Akurat w przedstawionym przez prezydenta projekcie ustawy te źródła są wskazane. W moim odczuciu te dwa projekty nie są alternatywą, powinny być koniunkcją. Jeszcze raz przypominam sytuację, w jakiej się znajdujemy. Nie dyskutujemy dziś o hipotetycznej sytuacji konfliktu, który może się wydarzyć za 10-15 lat. Dziś znajdujemy się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia. Co więcej, to ryzyko cały czas rośnie. Kilkanaście dni temu zaczęła się kinezyjna wojna w Iranie. Amerykanie zużywają sprzęt i już mówią wprost, że może się opóźnić realizacja zamówień zbrojeniowych, jaki u nich złożyły kraje europejskie. Te opóźnienia mogą sięgnąć nawet kilku lat.

Powiedziała Pani przed chwilą, że dwa programy SAFE mogą być koniunkcją, a nie alternatywą. Po wecie Nawrockiego pierwsza opcja odpadła. Będziecie procedować projekt prezydencki?

My po pieniądze z programu SAFE sięgniemy bez względu

KLUZIK-ROSTKOWSKA: KACZYŃSKI NARZUCIŁ NAWROCKIEMU SWOJĄ NARRACJĘ W SPRAWIE SAFE

– Na samym początku Pałac Prezydencki w stonowany sposób się wypowiadał o SAFE. Ale widać było, jak wielką presję PiS wywiera na prezydenta. Bo w tej kwestii chodziło o przywództwo na prawicy. I to starcie wygrał Jarosław Kaczyński – mówi Joanna Kluzik-Rostkowska, posłanka Koalicji Obywatelskiej, wiceprzewodnicząca sejmowej Komisji Obrony Narodowej

Agaton Koziński



Kluzik-Rostkowska: To Jarosław Kaczyński narzucił Karolowi Nawrockiemu swoją narrację w sprawie SAFE

na to, co sobie myśli pan prezydent. „Ustawa o obronie ojczyzny” z 2022 r. stworzyła Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych. Ten fundusz podlega MON, on jest dzisiaj operatorem potrzebnym do pozyskiwania pieniędzy. Nie ma żadnego problemu w tym, żeby ten fundusz pozyskiwał środki z SAFE. Przypominam, że za jego utworzeniem zgłaszała cały PiS.

To po co w takim razie forsowano ustawę o SAFE?

Ta ustawa umożliwiała także wykorzystanie środków

z SAFE przez policję, Straż Graniczną, na rozbudowę infrastruktury. Bez ustawy jest z tym kłopot.

Pomysł z ustawą rozumiałem inaczej. Gdyby przeszła ona całą ścieżkę legislacyjną, łącznie z podpisem prezydenta, oznaczałoby to, że akceptują ją politycy reprezentujący zdecydowaną większość Polaków. Bez podpisu Nawrockiego za SAFE stoi tylko połowa klasy politycznej. Dlaczego nie udało się zbudować politycznego kompromisu wokół tego projektu?

Naprawdę uważam, że lepiej być zadłużonym niż okupowanym – a na pewno lepiej być zadłużonym niż martwym. Z odpowiedzialności za bezpieczeństwo Polski chcemy sięgnąć po te pieniądze. Już wcześniej braliśmy duże pożyczki w USA i w Korei Południowej, gdy kupowaliśmy od nich sprzęt wojсковy. Wtedy nikt nie miał z tym żadnego problemu.

W czwartkowym orędziu Nawrocki jasno powiedział, że nie jest przeciwny pożyczkom na kupno sprzętu wojskowego. Podkreślił jednak,

że dla niego liczą się warunki, na jakich te pożyczki są brane. Pomysł z SAFE wziął się stąd, że Donald Trump wezwał Europę do tego, żeby zaczęła sama dbać o swoje bezpieczeństwo. Właśnie temu służy ten mechanizm. Przecież jego wejście w życie nie oznacza, że powstanie armia europejska. Armie są cały czas narodowe. I nie zgadzam się z budowaniem fałszywych alternatyw, na przykład, że chcemy budować swoje zdolności obronne kosztem na przykład Ameryki. To jest bzdura.

Właśnie to Nawrocki mocno podkreślał w swoim orędziu. Mówił, że tylko jego projekt „SAFE o proc.” pozwoli Polsce bez ograniczeń wybierać, gdzie kupuje sprzęt.

Gołym okiem widać, że prezydent buduje swój obóz polityczny kosztem dotychczasowego środowiska prawicowego. To było serce jego decyzji o wecie. On nie zwracał uwagi na realne potrzeby sił zbrojnych, tylko na oczekiwania tych wyborców, o których zabiega. Natomiast w tym przypadku znalazł się pod silną presją PiS. Nie mam żadnych wątpliwości, że Jarosław Kaczyński wygrał to starcie z nim, pokazując prezydentowi miejsce w szeregu.

W jaki sposób Kaczyński wygrał to starcie?

Narzucił Karolowi Nawrockiemu swoją narrację. Proszę przypomnieć sobie początek dyskusji o SAFE. Najpierw w tej sprawie działało się bardzo niewiele – aż nagle PiS zaczął bardzo ostro sprzeciwiać się temu programowi. Siegał po najostrzejsze argumenty, choćby to, że to program niemiecki. Tymczasem kancelaria prezydenta mówiła o SAFE zupełnie innym językiem.

Bardzo ezopowym, ogólnikowym – dopiero później on się zaostrożył.

Tak, na samym początku Pałac Prezydencki w stonowany sposób się wypowiadał o SAFE. Ale widać było, jak wielką presję PiS zaczyna wywierać na prezydenta. Bo w tej kwestii chodziło o przywództwo na prawicy. I to starcie wygrał Jarosław Kaczyński.

Panie generale, czy prezydent Karol Nawrocki działa na szkodę polskiej armii?

Z pewnością sabotowanie takiego projektu, który tak naprawdę miał na celu rozwój polskiego przemysłu obronnego i który jest popierany przez dowództwo, przez ekspertów wojskowych w mundurach, którzy mają wykształcenie i finansowe, i ekonomiczne, i znają się na tym, czy przez szefa Agencji Uzbrojenia choćby, jest działaniem niepokojącym. Miałem nadzieję, że ten dokument będzie jednak przez prezydenta podpisany. To była i jest ogromna szansa dla polskiej armii, dla służb mundurowych, dla przemysłu zbrojeniowego. Otóż my nie możemy polegać tylko i wyłącznie na zakupach w Stanach Zjednoczonych, za oceanem, chociaż tam kupujemy doskonały sprzęt. Myślę, że ta sytuacja, to zagrożenie powoduje, a właściwie standardem jest, że wszystkie państwa w takiej sytuacji stawiają na własny przemysł obronny. Żeby to zrealizować bez szkody dla normalnego życia, dla gospodarki, potrzebny jest dodatkowy zastrzyk gotówki. Projekt SAFE był planowany przez Polskę, dostaliśmy wsparcie Unii Europejskiej. Jako alternatywę przedstawia się jakąś mrzonkę, o której ekonomiści mówią, że jest nierealna, że tych pieniędzy tak naprawdę nie uda się pozyskać. Zresztą wystarczy popatrzeć gołym okiem: jeżeli instytucja taka jak bank wykazuje co roku stratę, a nagle pokazuje, że ma jakieś dodatkowe pieniądze, to wygląda to kiepsko.

Dlaczego więc pan prezydent Nawrocki podjął taką decyzję? Postanowił rzucać kłody pod nogi polskiej armii?

Trudno tak naprawdę to wytłumaczyć. Byłem przekonany, że jednak pan prezydent wzniesie się ponad podziały polityczne i będzie słuchał głosu ludzi z różnych stron, a nie tylko partyjnych podpowiadaczy. Za prezydenta Dudy, Biuro Bezpieczeństwa Narodowego w tego typu sytuacjach rozmawiało z byłymi szefami. To był Siwiec, Koziej, Goryszewski, ja również w tym uczestniczyłem. Było to ciało doradcze, które spełniało swoją funkcję i starało się prezydentowi przedstawić pełny ogląd sytuacji; nie wynikało to z jakiegoś zacietrzewienia, zaślepienia politycznego. To, co obserwujemy teraz, to, co słyszałem, bo właściwie również inne stacje telewizyjne, i wciąż słyszałem, że to Niemcy, że to projekt niemiecki, że to projekt francuski. Pytanie: czy my chcemy wyjść z Unii Europejskiej? Czy my będziemy polegać, jeżeli chodzi o własne bezpieczeń-

GENERAL ROMAN POLKO: PREZYDENT ZIGNOROWAŁ GŁOS WOJSKA

– Mamy wroga u bram, bo za naszą granicą jest wojna, i to nie jest czas na przepychanki partyjne, polityczne i udowadnianie sobie, kto może komu rzucać kłody pod nogi. Miałem nadzieję, że ten dokument będzie jednak przez prezydenta podpisany. To była i jest ogromna szansa dla polskiej armii, dla służb mundurowych, dla przemysłu zbrojeniowego – tak generał Roman Polko komentuje weto prezydenta w sprawie SAFE

Anita Czapryn



Gen. Polko: Byłem przekonany, że pan prezydent wzniesie się ponad podziały polityczne i będzie słuchał głosu ludzi z różnych stron, a nie tylko partyjnych podpowiadaczy

stwo, tylko na Stanach Zjednoczonych? W tę stronę to z pewnością nie warto działać, bo mamy do wyboru albo rzeczywiste integrację w ramach Europy i zbudowanie podmiotowości, przynajmniej tej europejskiej części, tak żeby rzeczywiście, jak oczekuje Trump, być zdolnym do obrony własnego terytorium w ramach sojuszu NATO i z dobrymi relacjami ze Stanami Zjednoczonymi. Albo będziemy polegać tylko na samych Stanach Zjednoczonych, wyjdziemy z Unii. Ale to dla nas się dobrze nie skończy, patrząc na to, że nasz obszar w tej chwili jest daleko któryś w kolejności, jeżeli chodzi o zainteresowanie naszych amerykańskich partnerów.

Jaki sygnał odebrali wojskowi, słuchając orędzia pre-

zydenta? Mówił prawdę, czy mówił nieprawdę?

Przed wszystkim odebrali oni sygnał, że ich głosy merytoryczne, fachowe oceny, rzeczne analizy, uczciwie naprawdę robione i w dobrym duchu, zostały po prostu zignorowane. Usłyszeliśmy rzeczy, które rozmiągają się z rzeczywistością. To była taka partyjna nowomowa, a w zasadzie oskarżanie wszystkich, którzy myślą inaczej, o to, że są wrogami Polski, i wymyślanie jakiejś alternatywy, której w istocie nie ma. Słuchałem wczoraj pana Głapińskiego, a im dłużej go słuchałem, tym mniej rozumiałem, o co mu chodzi. Pytałem innych i nikt nie zrozumiał, nawet z moich znajomych, którzy są ekspertami w dziedzinie ekonomii, bankowości. Oni również nie rozumeli, w jaki sposób te pieni-

dze nagle miałyby się jakimś cudem, skąd wziąć, i pozwolić sfinansować dozbrajanie polskiej armii. Powtórzę raz jeszcze: żołnierze oczekują uzbrojenia. Nie obchodzi nas skąd, tylko żeby to powstało bez zbędnej zwłoki, szybko, żeby te projekty były realizowane. Ta pseudoalternatywa, którą przedstawił prezydent, tego nie daje. Może uda się przynajmniej częściowo zrealizować projekt SAFE. Mamy wroga u bram, za naszą granicą toczy się wojna! To nie jest czas na przepychanki partyjne, polityczne i udowadnianie sobie, kto może komu rzucać kłody pod nogi. Tylko to jest czas, kiedy wszystkie ręce powinny pójść na pokład i bez względu na przekonania to powinno być realizowane w praktyce, co sam prezydent często deklarował mówiąc: „Murem za mun-

durem” i że w kwestiach bezpieczeństwa mówimy jednym głosem. W prezydenckim orędziu czegoś takiego nie usłyszałem i, szczerze mówiąc, mocno jestem zaniepokojony. No bo to może oznaczać znów, zamiast przyspieszenia, kolejne opóźnienia. Ci, którzy źle życzą naszej armii, naszej obronności, naszej spójności w ramach sojuszu NATO, tej europejskiej, w ramach Unii Europejskiej, mają dzisiaj powody do radości.

Jeśli zwierzchnik sił zbrojnych blokuje rozwiązania, które mają wzmacniać zdolności obronne Polski, to co można zrobić?

Trudno mi w tej chwili powiedzieć, co można z tym zrobić. Naród wybrał, naród może i rozliczy. Tylko że problem polega na tym, że dzisiaj każdy

dzień jest ważny i każde opóźnienie przede wszystkim uderza w nasz potencjał, nasze zdolności obronne i osłabia naszą pozycję, chociażby na rynku NATO, ale też na rynku gospodarczym, gospodarki zbrojeniowej. Mamy polskie produkty, które moglibyśmy wytwarzać w większej ilości: Pioruny, Kraby, Borsuki, Raki, wiele uzbrojenia. Oczywiście większość kupujemy wciąż w Stanach Zjednoczonych i tutaj jakoś panu prezydentowi nie przeszkadza pożyczka wzięta, znacznie większa również i w Korei, niż atrakcyjna oferta 3 procent, które oferuje Unia Europejska. A te wymyślone zagrożenia to tak, jakbyśmy uznawali za wroga Unię Europejską. Krótko mówiąc, rodzi się pytanie: po co my w tej Unii jesteśmy, skoro ona nam tak źle życzy?

DONALD TRUMP SZOKUJE: MOŻEMY ZAATAKOWAĆ CHARK DLA ZABAWY

Prezydent USA Donald Trump w wywiadzie dla NBC News wyraził wątpliwość, czy nowy najwyższy przywódca Iranu, Modżtaba Chamenei, żyje. Trump oświadczył też, że amerykańskie siły mogą ponownie zaatakować irańską wyspę Chark położoną w Cieśninie Ormuz „dla zabawy”

Grzegorz Kuczyński

Iran chce zawrzeć umowę, a ja nie chcę tego zrobić, ponieważ warunki nie są jeszcze wystarczająco dobre – oświadczył Trump w sobotnim wywiadzie, dodając, że każde porozumienie musiałoby być „bardzo solidne”.

Odnosząc się do ostatnich ataków powietrznych na strategiczną wyspę Chark leżącą w cieśninie Ormuz, prezydent USA stwierdził, że jej infrastruktura została „całkowicie zniszczona”, ale amerykańskie siły mogą „uderzyć w nią jeszcze kilka razy, tak dla zabawy”.

Być może chodzi nawet o zajęcie wyspy. Wysłanie dodatkowych sił USA sugeruje możliwość potencjalnej operacji lądowej. Trump dotychczas nie wykluczał takiej operacji, lecz przekonywał, że na razie o tym nie myśli. Pytany w wywiadzie dla radia Fox News o możliwość zajęcia irańskiej wyspy Chark – Trump strofował dziennikarza, że zadał mu „głupie pytanie”. – Kto zadałby takie pytanie i jaki głupiec by na nie odpowiedział? Dobra, założmy, że mam zamiar to zrobić, albo założmy, że nie mam zamiaru. Co bym ci powiedział? Och, tak, Brian, myślę o tym (...) Dam ci znać, o której godzinie i kiedy to się stanie – mówił prezydent. Wyspa Chark jest kluczowym elementem sektora naftowego Iranu. Stąd idzie nawet 90 proc. eksportu ropy.

Rosja dostarcza dane wywiadowcze Iranowi

Od początku wojny Iran odpowiadał atakami na coraz większą liczbę celów, atakując dromami i rakietami obiekty wojskowe USA w Kuwejcie i Bahrajnie, a także szereg celów w krajach Zatoki Perskiej, w tym wieżowce i lotnisko w Dubaju oraz instalacje odsalające w Bahrajnie

i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Do przeprowadzenia ataków na te cele nie są potrzebne żadne specjalne dane wywiadowcze.

Jednocześnie jednak Teheran przeprowadził również ataki na szereg celów, które zdaniem ekspertów nie zostałyby zidentyfikowane przez Iran bez konkretnych informacji wywiadowczych. Które Rosja prawdopodobnie chętnie udostępniła sojusznikowi – pisze Radio Swoboda.

Zakres informacji, które według amerykańskich urzędników Moskwa przekazuje Teheranowi, o czym napisał „Washington Post”, pozostaje niejasny. Gazeta podała, że Rosja przekazała Iranowi informacje o lokalizacji amerykańskich obiektów wojskowych na Bliskim Wschodzie i w regionie Zatoki Perskiej, w tym okrętów wojennych i samolotów.

Trzech amerykańskich urzędników w ogólnym zarysie potwierdziło to Radiu Wolna Europa/Radio Liberty, ale odmówiło podania bardziej szczegółowych danych. Oprócz ambasady w Rijadzie, do innych ważnych celów, które Iran zaatakował od początku kampanii, należą elementy zaawansowanego technologicznego systemu obrony przeciwrakietowej (THAAD), które są wykorzystywane w obiektach USA, a także ich sojuszników, takich jak Arabia Saudyjska, Katar i Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Rosja prawdopodobnie udostępnia dane wywiadu elektronicznego – sygnały radarowe, fale radiowe – oraz „informacje o celach ruchomych w czasie rzeczywistym”, czyli konkretne dane pozwalające na szybkie wystrzelenie dronów i rakiet, mówi Nicole Grajewski, specja-

listka ds. Iranu na francuskim uniwersytecie Sciences Po. Według niej informacje te prawdopodobnie obejmują ocenę zniszczeń: jak wygląda obiekt po trafieniu dronem lub rakietą, aby wojskowi odpowiedzialni za ich naprowadzanie lub pracownicy wywiadu mogli określić, na ile skuteczny okazał się atak.

Iran dysponuje jedynie kilkoma satelitami zdolnymi do tworzenia szczegółowych zdjęć obiektów wojskowych. Rosja posiada znacznie większą i bardziej złożoną sieć satelitarną niż Iran, choć jej możliwości są znacznie mniejsze niż w przypadku Stanów Zjednoczonych. Iran, podobnie jak Rosja, może też otrzymywać zdjęcia od komercyjnych dostawców usług satelitarnych, których ogólnodostępne zdjęcia stały się niezwykle popularne w ostatnim dekadzie.

Dlaczego Rosja pomaga Iranowi?

– Moim zdaniem Rosjanie robią to przynajmniej po to, aby przedłużyć działania wojenne, odwrócić uwagę USA i Izraela – uważa Grajewski. Jej zdaniem na Kremlu interpretują sytuację, w której znalazł się Iran, jako ściśniętą podobną do tej, w której znalazła się sama Rosja na Ukrainie po rozpoczęciu pełnej inwazji. Stany Zjednoczone i być może inne kraje NATO przekazały wówczas ukraińskim siłom zbrojnym szczegółowe informacje o wielu celach do uderzeń.

Matematyka jest prosta: jeśli Rosja zdoła przyczynić się do tego, by arsenał amerykańskiej broni w trakcie wojny z Iranem uległ jak największemu zmniejszeniu, oznacza to, że Ukraina będzie miała dostęp do mniejszej liczby systemów uzbrojenia. Mowa tu na przykład

o systemach obrony przeciwlotniczej Patriot, których Kijów desperacko potrzebuje.

Anna Borszczewska, badaczka z Waszyngtońskiego Instytutu Polityki Bliskowschodniej, twierdzi, że w przededniu wojny wielu obserwatorów zastanawiało się, czy Rosja zamierza ratować irański reżim. – Ale oni nigdy nie mieli zamiaru tego robić – zauważa Borszczewska.

„I tak naprawdę nie sądzę, by sam irański reżim oczekiwał od Rosji takiego posunięcia. Najprawdopodobniej Moskwa wolałaby zachować powściągliwość i publicznie ogłosić swoją rolę mediatora, a następnie prywatnie zaoferować Iranowi wsparcie i poszukać sposobów, jak czerpać korzyści z tego kryzysu. Właśnie to robi teraz Rosja, dostarczając dane wywiadowcze. Moskwa nie zamierzała udzielać Teheranowi bezpośredniej pomocy wojskowej, ponieważ nie chce bezpośredniej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi i Izraelem. Nie leży to w interesie

Rosji. Jednak w jej interesie leży poszukiwanie pośrednich sposobów na osłabienie kampanii amerykańsko-izraelskiej”.

Przedstawiciele administracji USA, w tym prezydent Donald Trump, nie potwierdzili doniesień o rosyjskiej pomocy dla Iranu. Wysłannik Białego Domu Steve Witkoff, który utrzymuje bliskie kontakty z rosyjskimi urzędnikami i kilkakrotnie spotykał się z Władimirem Putinem, oświadczył, że ostrzegł swoich rosyjskich kolegów: nie powinni dzielić się z Teheranem informacjami wywiadowczymi.

Putin zaprzeczył temu podczas rozmowy telefonicznej z Trumpem.

Trump pogroził Rosji?

Kolejną wskazówką, że Rosja może dzielić się z Iranem poufnymi informacjami, jest umowa o partnerstwie strategicznym podpisana przez oba kraje w zeszłym roku. Poza tym Rosja w przeszłości dostarczała Iranowi kilka systemów obron-

nych. Należą do nich kompleksy rakietowe S-300 oraz Krasucha – naziemny system walki elektronicznej i tłumienia sygnałów radarowych.

Eksperti uważają, że wymiana danych wywiadowczych między Rosją a Iranem, choć budzi niepokój Stanów Zjednoczonych i Izraela, prawdopodobnie nie przekroczyła czerwonej linii, która wywołałaby bardziej gwałtowną i agresywną reakcję. Tą granicą mogłoby być na przykład przekazanie Iranczykom potężnego systemu rakietowego, takiego jak Iskander.

Według Nicole Grajewski rozgłos, jaki towarzyszył tej sprawie, prawdopodobnie przyniósł pożądany efekt dla USA, ponieważ w ostatnich dniach intensywność ataków Iranu na obiekty ważne dla USA i ich sojuszników nieco spadła.

Może to być związane z tym, że Moskwa ograniczyła ilość informacji przekazywanych Teheranowi, aby nie drażnić Waszyngtonu.



Donald Trump wyraził też wątpliwość, czy nowy przywódca Iranu, Modżtaba Chamenei, żyje i sprawuje władzę

FOT. PAP/EPA

REKLAMA

0111461412

**CZAS NA WIOSENNE
ODŚWIEŻENIE GARDEROBY
ODKRYJ NOWE TRENDY**

**W CENTRUM MODY
NADARZYN**

Czynne w każdą
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



Al. Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00



Watykańscy zauważają, że papież odwiedzi zarówno kraje o silnej dominacji islamu, jak i dynamicznie rozwijające się wspólnoty chrześcijańskie w Afryce

LEON XIV W AFRYCE: ŚLADEM ŚW. AUGUSTYNA

Watykan potwierdził, że w kwietniu papież Leon XIV odwiedzi cztery państwa afrykańskie: Algierię, Kamerun, Angolę i Gwineę Równikową

Mariusz Grabowski

Lącznie Leon XIV spędzi na kontynencie afrykańskim dziesięć dni. Jego pielgrzymka pod względem długości przypominać będzie tę, którą w 1985 r. odbył św. Jan Paweł II, odwiedzając siedem krajów afrykańskich w ciągu jedenastu dni.

Pracowity rok

Program papieskich podróży w pierwszej połowie 2026 r. wykrystalizował się ostatecznie po oficjalnym komunikacie dyrektora Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej Matteo Bruniego. Potwierdził daty planowanych papieskich podróży do Monako, czterech krajów Afrykańskich oraz Hiszpanii.

I tak pierwszą zagraniczną podróżą w 2026 r. będzie krótka wizyta w Monako, zaplano-

wana na 28 marca, w przeddzień Wielkiego Tygodnia. Będzie ona odpowiedzią na wielokrotne zaproszenia władz Księstwa, kierowane wcześniej do papieża Franciszka.

Wizyta w Afryce potrwa od 13 do 23 kwietnia. Będzie łączyć wymiar duchowej pamięci o wielkim Ojcu Kościoła - św. Augustynie z bezpośrednim spotkaniem z krajami rozwijającymi się, gdzie szczególną uwagę papież poświęci relacjom religijnym, najuboższymi oraz tym, którzy niosą im pomoc.

Hiszpanię papież odwiedzi w dniu 6 do 12 czerwca, a nie - jak wcześniej podawano - wczesną wiosną. W Madrycie spotka się z wiernymi, następnie uda się do Barcelony, gdzie dokona m.in. otwarcia nowej, najwyższej wieży bazyliki Sa-

grada Familia. Odwiedzi również Wyspy Kanaryjskie.

Rozkład jazdy

Przyjrzyjmy się dokładniej rozkładowi afrykańskiej podróży. Jej trasa wieść będzie od Maghrebu po Zatokę Gwinejską. Wizyta została zaplanowana z niezwykłą precyzją, obejmując kluczowe ośrodki wiary i życia społecznego:

13-15 kwietnia: Algieria (Algier, Annaba) - umocnienie dialogu i małej trzódki chrześcijan;

15-18 kwietnia: Kamerun (Jaunde, Bamenda, Duala) - spotkanie z dynamicznie rozwijającym się Kościołem w sercu Afryki;

18-21 kwietnia: Angola (Luanda, Muxima, Saurimo) - pielgrzymka do narodowego sanktuarium i „umocnienie chrześcijańskich wartości”;

21-23 kwietnia: Gwinea Równikowa (Malabo, Mongomo, Bata) - historyczny powrót papieża do tego kraju po 44 latach od wizyty św. Jana Pawła II.

Watykańscy zauważają, że papież odwiedzi zarówno kraje o silnej dominacji islamu (Algieria), jak i dynamicznie rozwijające się wspólnoty chrześcijańskie w Afryce Środkowej.

Ślad św. Augustyna

Symbolicznie zapowiada się wizyta Głowy Kościoła w algierskiej Hipponie, dzisiejszej Annabie, związanej ze św. Augustynem, doktorem Kościoła, jednym z najwybitniejszych teologów i filozofów starożytności. Święty urodził się w 354 r. w Tagaście, dzisiejszym Suk-Achras w Algierii, zmarł zaś w 430 r. w Hipponie (Hippo Re-

gius), która była również jego miastem biskupim. Papieża powita tam mianowany przezeń w zeszłym roku dzisiejszy biskup Konstantyny-Hippony - ks. Michel Guillaud.

Kościół katolicki w Algierii położonej w północnej Afryce, stanowi bardzo niewielką mniejszość. Według rocznika watykańskiego, w diecezji Konstantyna-Hippona mieszka mniej niż tysiąc wiernych. To niewiele zważywszy, że w czasach późnego antyku region Numidii w Afryce Północnej był w większości chrześcijański. Celem wizyty będzie zatem wsparcie dla mniejszości katolickiej, a także próba dialogu katolicko-muzułmańskiego z planowanym apelem o pokojowe współistnienie.

Pytany w lutym o reakcje mieszkańców Algierii na wybór Leona XIV, Pierre-Yves Fux, były ambasador Szwajcarii przy Stolicy Apostolskiej i w Algierii, mówił o radości, jaką wywołały jego pierwsze słowa: „Gdy Papież Leon XIV powiedział: jestem synem św. Augustyna, dla wielu Algierczyków znaczyło to: jestem duchowym synem tej ziemi. Cała sympatia, jaką Algierczycy - chrześcijanie, muzułmanie, a nawet osoby bezwyznaniowe - darzą św. Augustyna, sprawiła, że to zdanie natychmiast do nich przemówiło”.

O św. Augustynie cd

Ten wielki święty nie pojawia się w tej historii przypadkiem. Niedawno Stolica Apostolska ogłosiła, że 20 czerwca Leon XIV uda się z wizytą duszpasterską do Pawii - miasta, gdzie od ponad 1300 lat spoczywają relikwie św. Augustyna z Hippony. Nawiedzi bazylikę San Pietro in Ciel d'Oro, gdzie znajdują się relikwie świętego. To miejsce ma dla Ojca Świętego, augustianina, szczególnie znaczenie duchowe.

„Papież przybędzie do Pawii, aby oddać cześć św. Augustynowi, którego uważa za swego ojca i mistrza, oraz by spotkać się ze wspólnotą ojców augustianów, którzy strzegą w bazylice San Pietro in Ciel d'Oro cennych relikwii Świętego” - podkreśla bp Corrado Sanguineti, ordynariusz diecezji Pawia.

Postać św. Augustyna ma także bezpośredni związek z wizytą Leona XIV w Algierii. Był Afrykańczykiem, jego matka, św. Monika, wywodziła się z ludów berberyjskich, a „dzięki rodzinie - to ponownie słowa Pierre-Yvesa Fuxa - zanurzony był w afrykański język i kulturę, istniejące jeszcze przed przybyciem Rzymian”, a czego wielokrotnie dawał wyraz.

„Sytuacja niestabilna”

Z Algierii przenieśmy się do Kamerunu, gdzie wizyta papieska będzie miała na celu wsparcie w wierze tamtejszej

społeczności katolickiej. Według raportu amerykańskiego Departamentu Stanu za rok 2023 („Report on International Religious Freedom: Cameroon”) katolicka społeczność stanowi 38 proc. tamtejszej populacji.

W programie wizyty przewidziano apel Ojca Świętego o pokój, gdyż sytuacja społeczno-polityczna Kamerunu jest niezwykle napięta. W listopadzie ubiegłego roku doszło do zamieszek przeciwko obecnej władzy tego kraju, w tych zamieszkach 48 cywilów zostało zabitych przez tamtejszą tajną policję polityczną. Statystyka podaje, że Kościół katolicki w Kamerunie jest największą grupą chrześcijańską w tym kraju. Hierarchia duchowna liczy 26 biskupów, a w kraju działa ponad 800 parafii i tysiące ośrodków duszpasterskich.

W marcu 2009 r. do Kamerunu przybył Benedykt XVI. W Yaoundé, stolicy Kamerunu, przekazał przewodniczącym episkopatów krajów Afryki tzw. „Instrumentum laboris” dla drugiego nadzwyczajnego synodu biskupów afrykańskich, którego tematem była „rola Kościoła w służbie pojednania, pokoju i sprawiedliwości”.

Katolicka Angola

Komentatorzy zauważają, że wizyta w kolejnym kraju afrykańskim - Angoli, będzie miała zupełnie inny charakter. Tam seminaria są pełne, a Angola jest Kościołem misyjnym. Ale jak mówi w wywiadzie dla włoskiego dziennika „Avvenire” abp José Manuel Imbamba „mamy nadzieję, że papieska pielgrzymka stanie się dla tego kraju momentem nawrócenia i odnowionego zaangażowania, szczególnie w budowanie dobra młodego pokolenia”.

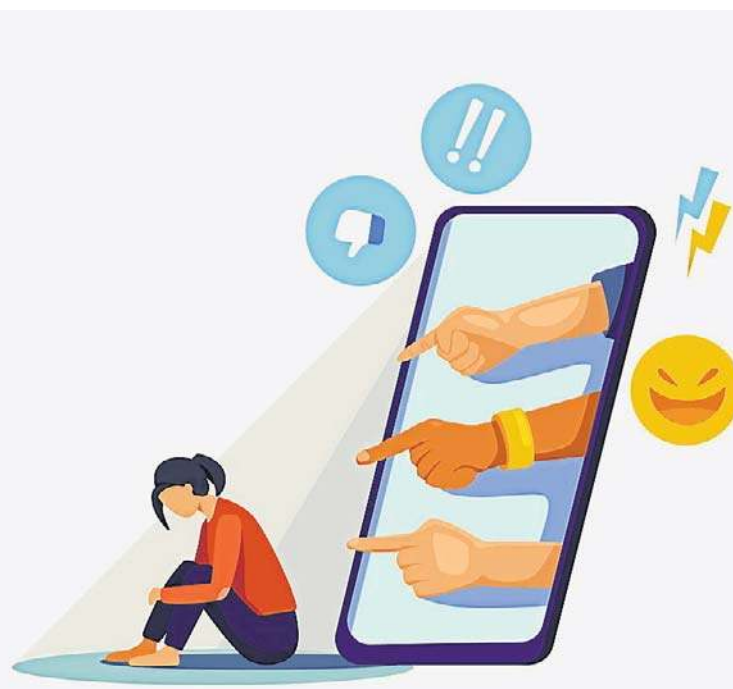
Angolski hierarcha uważa, że ponad pół wieku lat po uzyskaniu niepodległości i ponad dwie dekady po zakończeniu wojny domowej „droga pojednania narodowego nie jest jeszcze zakończona”. Wielu nie było w stanie przezwyciężyć przemocy wojny, która pozostała po sobie uczucie zemsty i nietolerancji. „Kościół nadal pełni rolę mediatora i krytycznego sumienia, promując przebaczenie, dialog i wspólną pamięć” - mówi abp Imbamba.

W listopadzie 2025 r. w Angoli odbył się Krajowy Kongres na rzecz Pojednania i Pokoju, który był ważnym krokiem w kierunku duchowego i obywatelskiego uzdrowienia. „Trzeba odbudować w lokalnych społecznościach klimat braterstwa. Potrzebna jest edukacja, informacja i stała obecność w terenie, aby rozwijać nową kulturę polityczną: mniej stronnictwa i bardziej zorientowaną na dobro wspólne” - dodaje duchowny.

OD CHOREGO DEBILA DO ZDROWEGO IDIOTY

„Idioci”, „debile” i „kretyni”, „imbecyle”. Nieszczęsne grono zdominowało słownik polskiej agresji w sieci. Ale z co prawdziwymi kretynami i idiotami? Gdzie się podziali?

Adam Willma



FOT. 123RF

Najczęściej pojawia się słowo „idiota”. W zasobach polskiego internetu można znaleźć ponad 10 mln stron zawierających to określenie (nie liczymy komentarzy). Wyraźnie rzadziej występują „debil” i „kretyn”, których spotkamy kilka milionów. „Imbecyl” pojawia się już tylko w milionie wyników. Choć „imbecyl” był kiedyś również oficjalnym terminem diagnostycznym, dla wielu brzmi jednak archaicznie.

W sporach politycznych te dawne określenia medyczne padają niemal odruchowo. „Idiota”, „debil”, „kretyn”, „imbecyl” zagłosili w telewizji, internecie, sejmowych polemikach. Brzmiały jak wyzwiska. Tymczasem jeszcze zaledwie kilkadziesiąt lat temu terminy te trafiały do dokumentacji medycznej, podręczników akademickich i statystyk państwowych.

Nie taki głupi idiota

Greckie słowo idiōtēs liczy sobie 2,5 tys. lat i ze współczesnym idiotą miało niewiele wspólnego - oznaczało „człowieka prywatnego”, który nie pełnił funkcji publicznych i nie uczestniczył w życiu państwa i miasta. W czasach rzymskich idiota stał się już jednak człowiekiem bez wykształcenia, ale dopiero w średniowieczu słowo to zaczęło oznaczać kogoś nierozumnego. Gdy nadeszła epoka nowoczesnej psychiatrii, „idiota” awansował do rangi terminu medycznego.

Podobną drogę przeszły inne słowa. „Debil” pochodzi od łacińskiego debilis, czyli „słaby”. „Imbecyl” od imbecillus, oznaczającego kogoś chwiejnego, pozbawionego oparcia. Najbardziej zawiliłą drogę przeszedł „kretyn”, pochodzący z francuskiego crétin. Słowo to oznaczało w jednym z dialektów chrześcijanina. W alpejskich dolinach tak nazywano osoby dotknięte ciężką chorobą wynikającą z niedoboru jodu. Nazwa miała przypominać, że mimo choroby są oni ludźmi - „także chrześcijanami”.

26 punktów imbecyla

W XIX w. psychiatria stała się modną dziedziną wiedzy i to wówczas zaczęło się porządkowanie wiedzy o rozwoju intelektualnym. Przełomem stały się jednak dopiero testy inteligencji, opracowane na początku XX w. przez Alfreda Bineta i Théodora’a Simona, które miały pomagać nauczycielom w identyfikowaniu dzieci wymagających wsparcia. Wyodrębniono trzy podstawowe kategorie: idiotyzm, imbecylizm i debilizm. Pierwsza oznaczała najcięższy stopień zaburzeń rozwoju, druga - poziom pośredni, trzecia - najłagodniejszy. Idiotyzm odpowiadał wartościom poniżej około 25-30 punktów IQ, imbecylizm około 26-50, debilizm około 51-70.

W USA pojawiła się jeszcze jedna kategoria - „moron”. Słowo wywodzące się od greckiego mōros określało osoby z najłagodniejszą formą upośledzenia intelektualnego. Twórca tego terminu, Henry Goddard, przekonywał, że to właśnie moroni są w społeczeństwie najgroźniejsi, bo na pierwszy rzut oka mogą uchodzić za zdrowych.

Na przełomie XIX i XX w. medyczne klasyfikacje „idiotyzmu”, „imbecylizmu” czy „debilizmu” zostały podjęte przez rozwijający się w Europie i USA ruch eugeniczny, inspirowany teoriami dziedziczności. W ideę „ulepszania” społeczeństwa zaangażowało się wielu intelektualistów. Chodziło o próbę ograniczenia liczby osób uznawanych za „niezdolne do samodzielnego życia” lub „nieprzystosowane”. Rozpowszechniła się praktyka umieszczania „imbecyli” i „debili” w specjalnych zakładach opiekuńczych. W kilku krajach weszły w życie przepisy pozwalające na przymusową sterylizację osób uznanych za „umysłowo upośledzone”.

Ciężarówki jadą po imbecyli

Echa owego zatroskania o genetyczną czystość znaleźć można w 1911 r. w Gazecie Kujawskiej, która tytułuje się wówczas jako „dziennik postępowy, polityczny, społeczny i literacki”: »Wyszumiali«, z zadatkami różnych chorób, gruźliczni, epileptycy, alkoholicy, kretyni wchodzą w związki małżeńskie, gdy sami tego zechcą, i nie ma dotąd prawa, które by im powiedziało: »Nie wolno«. Nawet rodzice młodych par najczęściej pomijają kwestię zdrowia. Tu stanowisko, tam posag - lub na odwrót - majątek, przy tym trochę oglądy, dystynkcji, edukacji, wykształcenia, wreszcie piękności. O zdrowiu się nie mówi”.

Podobnie jak w innych częściach Europy, odpowiedzią na problem było osadzanie osób dotkniętych niedorozwojem w zamkniętych zakładach. Jednym z największych był zakład w Świeciu. W latach 30. przebywało tam jednocześnie ponad

Choć dawna klasyfikacja medyczna praktycznie przestała istnieć, słowa „idiota” i „debil” stały się jednymi z najbardziej rozpowszechnionych obelg w języku internetu i social mediów

1500 osób, a w dokumentacji medycznej pojawiają się diagnozy idiotyzmu, imbecylizmu czy debilizmu. Placówka była niewielkim miasteczkiem z własnym gospodarstwem, warsztatami i szkołą. Jesienią 1939 r. niemieckie oddziały zamordowały około 1350 pacjentów szpitala. Wcześniej, w ramach programu Aktion T4, zamordowano dziesiątki tysięcy pacjentów szpitali psychiatrycznych i zakładów opiekuńczych w Niemczech, w tym „kretynów”, „idiotów” i „imbecyli”. Służby do tego zwykle specjalnie konstruowane ciężarówki, w których spaliny doprowadzano do kabin pasażerskich.

Idiotyczne filmy, kretyński jazz

Pomysł na to, żeby upośledzenie umysłowe traktować jako obelgę jest oczywiście stary jak świat. Pisząc o krytykach wojny secesyjnej w USA Włodzimierz Ilicz Lenin pokpiwał: „jakimże pedantem, jakim kretynem byłby człowiek, który by na tej podstawie począł zaprzeczać jak najdonioślejszemu światowemu i dziejowemu zna-

czeniu wojny domowej w Ameryce”.

Periodyk „Polska Walcząca - Żołnierz Polski na Obczyźnie” pomstował w 1946 r.: „Człowiek współczesny coraz bardziej odgrywa rolę bezmyślnego robota, konsumenta standartowej, płytowej prasy groszowej, beznaście idiotycznych filmów amerykańskich przeważnie o gangsterskiej tematyce (musi być obowiązkowe morderstwo), lub jeszcze bardziej szkodliwych agitacyjnych filmów sowieckich, konsumenta gumy do żucia lub tandetnej machorki, no i kretyńskiej (straszna zemsta murzynów na rasie białej) muzyki swingów i hotjazzu”.

Bilety na kretynów

Osoby z niedorozwojem były zresztą wykorzystywane na różne sposoby. Jedną z najbardziej znanych afer była sprawa tzw. „dwóch Azteków”, których w XIX w. pokazywano publicznie w Londynie. Dwojkę niskiego wzrostu dzieci o niezwykłym wyglądzie - z rysami, które jedni porównywali do małpich, inni do postaci znanych z asyryjskich zabytków -

zaczęto przedstawiać jako potomków tajemniczego azteckiego rodu. Wokół ich pochodzenia szybko narosły fantastyczne teorie, które trafiły nawet do czasopism medycznych i dyskusji naukowych. Dopiero później ujawniono, że były to dzieci ubogiego rybaka z Ameryki Środkowej, dotknięte ciężkimi zaburzeniami rozwojowymi - definiowanymi wówczas jako kretynizm.

Jod na odsiecz karłakom

Zwłaszcza kretynizm (zwany inaczej matołectwem, a dziś określany jako „wrodzony niedobór jodu”) przed II wojną światową był w Europie nie lada problemem społecznym. Od XVIII w. szczególną uwagę lekarzy i podróżników przyciągały wioski w alpejskich dolinach Szwajcarii, północnych Włoch i Austrii, w których identyfikowano ciężkie zaburzenia rozwojowe, związane z długotrwałym niedoborem jodu. Choroba występowała tam tk często, że znajdujemy opisy całych miejscowości, w których obok powszechnego wola tarczycy

spotykano osoby z poważnymi deformacjami ciała i głębokimi zaburzeniami rozwoju.

Również w Polsce problem dotyczył głównie regionów górskich i podgórskich, gdzie gleby i woda były naturalnie ubogie w jod. Chodzi głównie o Pogórze Karpackie i położone w Beskidach powiaty nowosądecki, limanowski, myślenicki i gorlicki. W 1933 r. we wsi Przysietnica w powiecie nowosądeckim wole tarczycy stwierdzono u ponad 60 proc. badanych mieszkańców, a w powiecie strzyżowskim wśród poborowych w 1930 r. sięgało ono ponad połowy badanej populacji. Kretynizmem dotknięta była znaczna część populacji Pcimia, Raby i Dunajca, gdzie osoby dotknięte niedorozwojem nazywano „karłakami”. Wyraźne ogniska choroby notowano także w Sude tach, zwłaszcza w okolicach Kar konoszy, Gór Izerskich i Kotliny Kłodzkiej. To z powodu tej karpackiej epidemii w 1935 r. rozpoczęto w Polsce pierwsze działania profilaktyczne i wprowadzono jodowanie soli kuchennej na terenie województwa krakowskiego. Program przerwała wojna, ale po 1945 r. został wznowiony, a obowiązkowe jodowanie soli wprowadzone w 1997 r. sprawiło, że ciężkie postaci kretynizmu endemicznego w Polsce praktycznie zniknęły.

Podobne przypadki notowano również w Karpatach. W XIX w. opisywano je m.in. w okolicach Raby i Dunajca.

Medycyna zmienia słownik

Choć jeszcze w pierwszej połowie XX w. terminy „idiota”, „imbecyl”, „debil” czy „kretyn” były powszechne w podręcznikach medycyny, z czasem jednak zaczęły zniknąć. Najpierw z naukowych publikacji, potem z oficjalnych klasyfikacji medycznych. Chodziło o to, aby słowa przestały naznaczać ludzi dotkniętych nieszczęściem. Na Zachodzie proces ten przyspieszył już w latach 50. i 60., kiedy pojawiły się nowe klasyfikacje chorób i zaburzeń psychicznych. W Polsce jeszcze w podręcznikach z lat 60. i 70. można znaleźć przestarzałe określenia, ale już od lat 80. zaczęły zniknąć także z polskiej medycyny i pedagogiki. Dopiero jednak w XXI w. usunięto je z wszystkich dokumentów prawnych i oświatowych.

Nie usunięto ich jednak z mowy potocznej. Choć dawna klasyfikacja medyczna praktycznie przestała istnieć, słowa „idiota” i „debil” stały się jednymi z najbardziej rozpowszechnionych obelg w języku internetu. Do swojego słownika włączyli je prezydent, minister spraw zagranicznych, profesorowie, nie wspominając o celebrytach. Kto wie, być może historia zatoczy koło, a słowa powrócą do swojego pierwotnego znaczenia. ©

„Afterparty” – książka, którą napisała Pani wspólnie z Pauliną Młynarską – właśnie trafiła do księgarni. Paulina Młynarska mówi, że to książka o tym, czego nauczyła was dorosłość. Jakich trzech najważniejszych rzeczy nauczyła Panią?

Dorosłość nauczyła mnie, że w tej chwili nic nie muszę i wszystko mogę. Dorosłość to nie jest stan, w którym cofamy się w czasie i myślimy o tym, co było, tylko cały czas patrzymy w przyszłość. Stąd moje hasło przewodnie: „Aluluja i do przodu”. I wreszcie nauczyła mnie, że jest wielką odpowiedzialnością, także za młodsze pokolenie. Ja tę odpowiedzialność na sobie czuję.

Tytuł książki jest przewrotny: czy „Afterparty” oznacza kontynuowanie tej imprezy zwanej życiem, czy może oznacza także sprzątanie po imprezie? Czym dla Pani jest dziś ta druga połowa życia?

Odpowiem pytaniem: co pani lubi najbardziej robić po imprezie? I nie mówię tu o takiej, po której ktoś nie pamięta, że spał w sałacie przez 24 godziny, tylko o fajnej zabawie. A najfajniejszy jest afterek. I my właśnie chcemy udowodnić, że to, co niektórzy nazywają drugą częścią życia, jest równie atrakcyjne; jest imprezą, która dopiero jest przed nami. Bardzo dużo zależy od tego, jak do tego życia będziemy podchodzić, czy będziemy chcieli być ludźmi aktywnymi, jakie mamy nastawienie do życia i jakich wyborów dokonujemy. Okładka naszej książki jest kolorowa, wesoła, pełna radości i z naszej strony też jest radość, przede wszystkim ze wzajemnego spotkania, ale też z tego powodu, że możemy powiedzieć: to jest czas twórczy, czas fantastycznych możliwości, czas zmian, które mogą jeszcze w naszym życiu nastąpić. Nie będziemy pieprzyć głupot pod tytułem: „Sześćdziesiątka to nowa czterdziestka”. Każdy okres ma swoje piękne strony. Każdy czas w naszym życiu może nam dawać satysfakcję. I do tego namawiamy nasze czytelniczki i naszych czytelników.

Na czym Pani zdaniem polega dojrzałość? Co ona daje?

Dojrzałość dała mi mądrość, doświadczenie, duży spokój i konsekwencję w tym, co robię. Dała mi też szansę na nową drogę życia. To, że jako człowiek dojrzały podejmowałam nowe decyzje zawodowe, że zaczęłam jeszcze inną drogę zawodową, jest właśnie efektem mojej dojrzałości. Myślę, że wcześniej może bym się tego bała. Teraz pomyślałam sobie: jeśli się

O dojrzałości bez pudru, która zabiera część sprawności, ale daje spokój, doświadczenie i wolność. A także przekonanie, że kobieta nie musi już nikomu niczego udowadniać, żeby mieć prawo do własnego głosu, pracy, przyjemności i sensu. – Nic nie muszę i wszystko mogę – mówi Dorota Wellman

Anita Czapryn



Dorota Wellman: Dojrzałość dała mi mądrość, doświadczenie, duży spokój i konsekwencję w tym, co robię

DOROTA WELLMAN: NIE DAŁAM SIĘ PRZEFORMATOWAĆ. JESTEM TWARDĄ BABKĄ

uda, to świetnie, jeśli się nie uda, to opanuję pewne umiejętności, dowiem się wielu rzeczy, które i tak przydadzą mi się w pracy. Wszędzie znalazłam pozytyw. Dojrzałość to także myślenie o innych ludziach, odpowiedzialność za nich, za relacje. Naprawdę uważam, że w tej książce chcieliśmy powiedzieć wiele ważnych dla nas rzeczy. Nie będziemy nikogo pouczać. Postawiłam na relacje i nie mówię o relacjach miłosnych czy

romantycznych, tylko o relacjach w ogóle; tych, które są obecne na przestrzeni naszego życia. One są ważne, ważni są ludzie obok mnie, ci, z którymi pracuję – na tym też polega dojrzałość, że szanuję te relacje, lubię je i dbam o nie bardziej niż kiedykolwiek.

O jakiej innej drodze zawodowej Pani mówi? Skończyłam studia, które dotyczą różnych aspektów biznesu. Zajmuję się biznesem,

wiedzą o biznesie, którą dzielę się z innymi, różnorodnością, inkluzywnością, marką osobistą. To rzeczy, które mnie pasjonowały. Interesowały mnie hasła wywieszane na firmowych sztandarach, jak różnorodność. W wielu korporacjach się o tym mówi, ale ja chciałam wiedzieć dokładnie, jak to się przekłada na działanie firm. Co naprawdę robimy, żeby ta różnorodność dawała wartości nie tylko ekonomiczne, ale przede wszystkim kre-

atywne. Dlaczego ważna jest inkluzywność, czyli poczucie, że w pracy jesteśmy na swoim miejscu, że możemy mówić swoim głosem i że nie będziemy się tego bali. To tematy, które mnie interesowały jako dziennikarkę, ale rozwinęłam też swoje umiejętności i kompetencje w tej dziedzinie, żeby rozmawiać i dyskutować z innymi ludźmi na ten temat, żeby robić z tego kolejną nitkę moich zawodowych działań. To jest w tej

chwili, moim zdaniem, rzecz, która pochłania mnie równie mocno jak dziennikarstwo. Chcę spotykać się z ludźmi, jeździć po Polsce, być w mniejszych i większych firmach, chcę usłyszeć, co mówią ludzie poza warszawską bańką. Jak się tworzy mniejsze i większe biznesy z sukcesem, co na ten sukces się składa. To jest dla mnie nowa umiejętność.

Co dorosłość zabrała? I czy zabrała coś bezpowrotnie?

Zabrała sprawność fizyczną. Nie będziemy przecież tego ukrywać. Wielu rzeczy nie mogę już zrobić dlatego, że nie jestem tak sprawna, mając 65 lat, jak byłam, mając lat 30.

Przecież Pani wygląda na 30 lat!

Dziękuję, to największy komplement, jaki może mi pani dzisiaj dać. Ale prawda jest taka, że kiedyś o moim wieku myślało się jak o starości. Takie osoby widziało się jako nieaktywne zawodowo. A ja jestem aktywna na wielu polach. Co więcej, sama sobie te pola znajduję i chętnie je orzę. Ta dorosłość zabrała mi też część takiego myślenia, że jestem wyłącznie odpowiedzialna za innych. Mam dorosłego syna, więc to też jest częściowe zdjęcie tej odpowiedzialności, bo on żyje już swoim życiem. Oczywiście przy naszym wsparciu, pomocy i stałym kontakcie. Ale ja mam teraz troszkę lżej. Mogę z tej straty wyciągnąć coś dobrego. Mogę zrobić coś dla siebie bez poczucia, że kradnę czas swoim bliskim, że powinnam zrobić coś dla innych. Mogę sobie pozwolić na taki moment, kiedy zajmuję się tylko sobą, albo się rozwijam, albo się dopieszczam, albo sprawiam sobie przyjemności, albo robię rzeczy, na które wcześniej nie miałam czasu. To też jest część tej straty, którą na pewno odczuwam. Lubiłam być odpowiedzialna za całą moją rodzinę, nosić ją na barkach, czuć ten ciężar. Ale teraz już nie muszę tego robić.

W książce rozmawiacie też panie o tym, że kobiety dojrzałe wchodziły w czas mocy. Co Pani zdaniem jest tą mocą kobiety dojrzałej po pięćdziesiątce? Wcześniej słyszałam publiczne wypowiedzi różnych kobiet, że to jest taki wiek, kiedy wchodzi się w strefę niewidzialną.

Więc co jest tą naszą mocą? Myślę, że naszą największą mocą, której nie doceniamy, jest doświadczenie i umiejętności. Powinniśmy robić wszystko, żeby dzielić się nimi z innymi. Nie zabierzemy tego do grobu. Jeśli nie będziemy współpracować z młodym pokoleniem, jeśli nie znajdziemy

w tym przyjemności i radości, że coś mamy, coś umiemy, że możemy komuś skrócić drogę, ułatwić życie, to będziemy miały to tylko dla siebie. A przecież nie o takie egoistyczne myślenie chodzi. Myślę, że naszą mocą jest też samoświadomość. Wiemy, czego chcemy, a czego nie zrobimy. Potrafimy bardzo wyraźnie powiedzieć: „Nie”. I jak mówi Paulina w książce, „nie” to jest całe zdanie. To jest decyzja. Dojrzałość jest pięknym okresem, kiedy naszą mocą staje się możliwość samorozwoju. Jest w nas siła. Jako społeczeństwo się starzejemy i jest dużo dojrzałych kobiet, więc nie lekceważcie nas jako siły; również siły społecznej, w działaniach politycznych, siły nabywczej. Nie jesteśmy niewidzialne. My mamy władzę w rękach.

Kiedy mówi Pani, że sama sobie te pola do orki znajduje, to ja też tak chcę. Jak to się robi? Nie dopuszczam, podobnie jak Paulina, bo mówię tu za nas dwie, procesu starzenia się mózgu. Po pierwsze, uczyć się nieustannie rzeczy, które mogą mi się przydać, ale niekoniecznie muszą. Po prostu poszerzamy wiedzę. Powtarzamy z Pauliną, że mózg jest mięśniem i musi się ćwiczyć na siłowni umysłowej. Musimy go dopalać różnymi rzeczami. Nie tylko piciem trzech litrów wody, zalecanych przez wszystkich mądrych w internecie i poza nim, ale własnie wiedzą, ciekawością świata, tym, że zbieramy informacje, że chcemy wiedzieć, chcemy zrozumieć nowy świat, na przykład świat nowych mediów, świat sztucznej inteligencji. Nie możemy się zamykać. Jeśli tak robimy, jeśli mamy głód życia, wiedzy i samorozwoju, to na pewno znajdziemy to pole, które będzie chociażby naszą pasją, albo naszą nową pracą, albo nową szansą na poznanie i zrozumienie czegoś zupełnie nowego, nowej dziedziny. Musimy ten mózg nieustannie stymulować. Ktoś rozwiązuje krzyżówkę, ktoś zaczyna studia na Uniwersytecie Trzeciego Wieku - fantastycznie. Ktoś oddał się podróżom i się rozwija, poznając świat - wszystkie te metody są dobre. Nie wolno się poddawać. Inaczej będziemy powtarzać to zdanie, którego szczerze nienawidzę: „Za moich czasów to było lepiej”. Główna prawda. Jeśli ktoś tak mówi, a jest w moim wieku, to doskonale wie, że w czasach mojej młodości wcale lepiej nie było. Teraz jest dobrze. Mamy możliwości, edukacja jest w naszym telefonie, rozwój jest w naszym telefonie. Możemy wykorzystać media społecznościowe w dojrzałym wieku, tworząc nowy biznes albo przekazując fantastyczne

treści. Nie tylko takie: „Przyklej sobie plaster na czole i nie będziesz miała zmarszczek”. Mamy wiele szans i możliwości, tylko często po nie nie sięgamy.

Zawsze tak Pani miała, że chciała żyć według własnego scenariusza? Były momenty, kiedy chciało Pani uczyć, wcisnąć w jakiś gorset? To były krótkie momenty, bo jestem dosyć stanowcza i od dzieciństwa tak mam. Ale były próby formowania mnie według czyjegoś widzimisie, próby regulowania charakteru, który mógł się komuś nie podobać. Tylko że ja się nie poddawałam. Z pełnym przekonaniem, że muszę robić to, co uważam za sensowne, i że muszę czuć przyjemność z tego, co robię. Więc nikt niczego mi nie narzucał. Teraz jest taki etap, że chyba nikt do mnie z czymś takim nie podchodzi. A jeśli podchodzi, to po to, żebyśmy rozmawiali, dyskutowali, wymieniali się argumentami i doszli do porozumienia, ale nie narzucając nic nikomu. Staram się tego nigdy nie robić. Myślę, że osoby, które ze mną współpracują, dobrze na tym wychodzą.

Ważniejsze od poczucia własnej wartości jest poczucie sensu. Płynie on z działania, relacji, z bycia częścią świata. Jest Pani osobą publiczną i gdyby nie osiągnęła Pani sukcesu, to brak sensu bardziej by bolał? W moim życiu w ogóle, niezależnie od sukcesu czy jakiegokolwiek mojej społecznej pozycji, po prostu poszukuję sensu. Szukam go w pracy, w telewizji. Co nie jest łatwe, jak pani doskonale wie, bo w tej chwili można zrobić program o dupie Maryni, która wyjechała na wyspę i pokazuje cycki. Tylko że to nie byłby program, który dawałby mi poczucie sensu. Jestem człowiekiem, który szuka sensu w pracy, w działalności społecznej, charytatywnej. W ogóle w życiu, uważam, należy poszukiwać sensu. Samo żyćko dla życia, dla jedzenia, wydalania, dla bycia biologicznego mnie nie interesuje. Szukam sensu w działaniu i wtedy mam wrażenie, że moje życie nie jest chwilowe, nie jest wiatrem, który przewiewa i leci dalej. Pracując i współpracując z kobietami w Polsce, czuję sens w tym, żeby mówić o ważnych rzeczach, rozmawiać, dyskutować, bo wzajemnie się rozwijamy. Może komuś takie spotkania wydałyby się banalne, ale komuś innemu da sens zmiany, sens myślenia społecznego o społeczności, w której żyje. Może też zmieni swoje życie. Nie mówię, że jestem coachem i terapeutką, bo ich w sumie nie trawię,

kiedy uczą nas żyć. Ale może dla kogoś nasz przykład może stanowić początek poszukiwania sensu dla własnej działalności, twórczości czy życia w ogóle. Życie bez sensu nie ma sensu.

Piszę pani o tym, że w polskich mediach wciąż rządzi patriarchy, kobiety bywają sprowadzane do roli pindy przy paprotce. Stawiacie diagnozę, że kobiecie media wycofały się z trudnych, równościowych tematów. Jak dzisiaj kobiety są w mediach uczasne? Czy są jakieś subtelne metody? Nie mam takiego poczucia, bo w lekkim, łatwym, rozrykowym programie porannym mogę poruszać wszystkie te tematy i nikt mi tego nigdy nie zabronił ani nie zakazał. Poruszamy tematy, które czasami nawet bulwersują naszych widzów, ale uważamy, że nawet w takim przekazie, gdzie jest trochę wiadomości, trochę rozrywki, ale są też sprawy społeczne, istotne dla kobiet, można te tematy podejmować. Jeśli chodzi o media, to mamy tu z Pauliną lekką niezgodę, bo ja uważam, że w mediach jest coraz więcej kobiet. Proszę zobaczyć, jak prężnie działają - TVN jest świetnym tego przykładem. Szefową biznesu, prezesem naszej korporacji jest kobieta, Katarzyna Kieli, a szefową programową jest Lidia Kazen. To dwie kobiety, które w tej chwili trzęsą i rządzą TVN. Ale nie ma sensownych programów dla kobiet. Pojawiają się takie programy, jak „Babski biznes” w TVN Style, który widać sens pomagania kobietom w tworzeniu małych biznesów, ale nie ma programów, które tworzyłyby środowisko, społeczność, jak kiedyś, moim zdaniem, tworzyło je „Miasto kobiet”. I nie tylko w moim wykonaniu, bo przecież było wiele prowadzących, ale mówiłyśmy o rzeczach istotnych dla kobiet. Nie unikałyśmy tematów trudnych, tworzyłyśmy pewien rodzaj grupy nacisku w ważnych sprawach, o których zapominali rządzący. Niestety, prognozy i pogody polityczne wpływają na to, że programów tego typu jest coraz mniej. Mamy świadomość, że nasze działania nie przyniosły skutku, że nasze czarne parasolki, wystąpienia publiczne, liczne zgromadzenia, protesty, składane projekty ustaw nie przechodzą. Myśmy się trochę zniechęciły. Szkoda, że nie powstały partie, które będą promować te wartości, które będą stały za kobietami. Szkoda, że w dalszym ciągu kobiet w rządach firm jest bardzo mało. Myślę, że to jednak wróci. Jesteśmy na tyle mądre, że będziemy wiedziały, że trzeba znowu zebrać w sobie siły i od nowa walczyć o to, żeby

w mediach były obecne te tematy, a nasze sprawy, o których decydują obcy faceci siedzący na Wiejskiej, stały się sprawami pierwszej wagi, sprawami, o których się dyskutuje i mówi. I za którymi nie boją się stanąć także mężczyźni. Mam wrażenie, że teraz mężczyźni nie stają za kobietami, bo się boją. A ja trochę nie lubię.

Gdyby miały pani dzisiaj stworzyć „Miasto kobiet”, to jakich tematów by w nim nie było? Jakiego języka? Czego nie wpuściłybyście już na antenę? Na przykład żadnych głupich pomysłów, które przez chwilę się pojawiały, a przeciwko którym ostro protestowałyśmy, czyli poszukiwania taniej sensacji. Zrobiłyśmy jeden taki odcinek, pod naciskiem ówczesnego producenta, i żałujemy tego do tej pory. Natomiast ja raczej wolałabym mówić o tym, co by było dzisiaj. Rozmawiałybyśmy o rzeczach, które dotyczą bardzo wielu osób. Na przykład o preparatach typu Ozempic, Mounjaro i innych, stosowanych w najwyższych dawkach jako sposób na odchudzanie. Czy to jest dobry pomysł i jakie będą tego konsekwencje. Mówiłybyśmy o tym spokojnie, nie po to, żeby krytykować kogoś, kto to robi, tylko żeby społecznie uświadamiać, jak to działa. Na pewno mówiłybyśmy o młodym pokoleniu i o braku edukacji zdrowotnej, która została również odrzucona przez rodziców. W związku z tym za chwilę naprawdę będziemy mieli bardzo duży problem. Rozmawiałybyśmy też o braku edukacji wśród młodych ludzi, w tym wśród młodych kobiet, o zagrożeniu HIV, o którym dziś już prawie się nie mówi, jakby się rozpułyło w powietrzu. Jeszcze środowiska LGBT od czasu do czasu przypominają, że takie zagrożenie istnieje, ale ono istnieje nie tylko z powodu ryzykownych kontaktów seksualnych. Mówiłybyśmy też o różnych internetowych „cudach”: czy naprawdę można spać w silikonowych plastrach, które prostują zmarszczki bez użycia botoksu. Rozmawiałybyśmy o wielu rzeczach, pokazując opinie ekspertów, bez wyśmiewania. Zresztą „Miasto kobiet” nigdy nie polegało na wyśmiewaniu. Chodziłoby raczej o analizę, szukanie prawdy w świecie fake newsów, w świecie sztucznej inteligencji, która może mnie stworzyć na nowo i będę śpiewała, tańczyła i całowała się z Maserakiem. To mógłby być taki punkt, w którym szukamy wsparcia dla naszych poglądów, słuchamy innych opinii, dowiadujemy się czegoś, co może nam się w życiu przydać. Bardzo mi takiego programu brakuje.

Jakie są szanse, żeby taki program, jak „Miasto kobiet”, reaktywować? To pytanie do naszych władz. Zresztą można by o wiele rzeczy zapytać władze różnych telewizji, nie tylko TVN-u. Możemy o to zapytać też Polsat i telewizję publiczną, która również powinna takie programy robić. Gdzie jest program dla kobiet tego typu? Gdzie są programy o książkach, które znikają jak grzyby zimą? Gdzie są programy poświęcone wysokiej kulturze? Świat zajął się głupotą i obrazkiem, a przecież jest tyle treści do opowiedzenia.

Bardzo dobrze czytało mi się ten rozdział w książce, który dotyczy relacji i tego, że nie wszystko jest w nich łatwe. Że seks też może być trudny. Jak według Pani wygląda dojrzała erotyczność? Co dzisiaj jest erotyczne, kiedy ciało się zmienia? Oczywiście, po pierwsze, jest to erotyczność w zaniku, to znaczy sami rezygnujemy z tej sfery, mając pełną świadomość naszego starzejącego się ciała. Uważamy, że nie należy się już pokazywać, w związku z tym intymność również nie będzie miała miejsca, bo bez ciała, dotyku, czułości, pieszczoty nie będzie erotyzmu. Chyba że ktoś uwielbia uprawiać wyłącznie erotyzm słowny, ale tego nie da się zrobić do końca. Tymczasem potrzebujemy czułości, bliskości, niezależnie od wieku. Mamy swoje potrzeby, mamy marzenia erotyczne. Niech mi ktoś nie powie, że ich nie ma. Niech ktoś nie mówi, że czasami nie zamyka oczu i nie myśli o jakimś pięknym młodym aktorze, którego zobaczyliśmy na ekranie, także w kontekście erotycznym. To nie mija, to nie przechodzi. To nie jest grypa. Czułość, miłość, wyrażona przez dotyk, drapanie po plecach, jest nam potrzebna. Seks może już nie będzie Kamasutrą, w której założymy nogę na głowę i jeszcze w tym samym czasie osiągniemy orgazm. Możemy go nie osiągnąć, ale będziemy blisko drugiej osoby. Jeżeli zaczniemy rezygnować z tych relacji, będziemy się od siebie oddalać. A kiedy oddalamy się fizycznie, oddalamy się też psychicznie. Nam drugi człowiek jest potrzebny. Czasami pary w programie, który prowadzi z Marcinem Prokopem, mówią: „Naszym erotyzmem było przytulenie na łóżeczku”. I ja to rozumiem. Jestem w tym wieku, kiedy też tak bywa. I to także jest jeden z objawów naszej czułości i miłości erotycznej. Ale nie poddawamy się presji, że ciało ma być sprężyste, piękne, wypracowane, że nikt nie ma brzuszka i nikt nie ma problemów z erekcją. Nawet jeśli pojawia się problem

z erekcją czy z osiągnięciem orgazmu, to wciąż zostaje to, co jest przytuleniem, głaskaniem. Kochajmy się przez dotyk. Zmienia się rodzaj erotyzmu, ale on nie przestaje istnieć, nie umiera.

Co uważa Pani za luksus w drugiej połowie życia? Moim największym luksusem jest to, że mam bardzo bliskie relacje z moim synem, że jesteśmy w stałym kontakcie, że wspólnie robimy podcast. To jeden z powodów, dla których go robimy, bo chcemy być z sobą blisko, chcemy mieć ten kontakt. To, że mam grono stałych przyjaciół i że pozyskuję nowych, mimo że mówię się, iż w drugiej części życia już się tego nie robi. To nieprawda. Jeśli się chce, to także w tym wieku można znaleźć nowe relacje. Mogą być głębsze, mogą być po prostu znajomości, ale warto to robić. To jest mój luksus: że mam wokół siebie takich ludzi. Moim luksusem jest także świadomość, że jeżeli przestanę pracować w telewizji, a to nie jest najważniejsza treść mojego życia, choć daję mi dużo możliwości, to będę potrafiła się w tym życiu odnaleźć. Będę robiła coś w internecie i na pewno tam też się odnajdę, nauczę się nowych rzeczy. To luksus myślenia, że jeśli chcę być aktywna, to mam możliwości. Luksusem jest też to, że pracuję, że mam pieniądze i sama je zarabiam. Jestem niezależna: ani od ZUS-u, ani od partnera. Jestem z tego dumna. Pracuję od czternastego roku życia i uważam, że to jest powód do chwalenia się. Poradziłam sobie. Posłuchałam mojej mamy, która mówiła: „Kobieta zawsze powinna mieć swoje pieniądze i nigdy nikogo o nie nie prosić”. I ja jestem w tej luksusowej sytuacji.

Za co by sobie Pani podziękowała? Za to, że nie dałam się zreformatować. Nie dałam się złać. Że jestem sobą, choć czasami dostaję za to w dupę. Ale ja mam bardzo twardy tyłek. Więc za to sobie dziękuję, że jestem twardą babką.

KSIAŻKA



Paulina Młynarska, Dorota Wellman, „Afterparty”, Wydawnictwo Znak Literanova

GDY KILKASET TON STALI RUSZA W DROGĘ, ZA STERAMI SIEDZI KINGA KOSZYK. MASZYNISTKA

Pasażerowie najczęściej widzą tylko wagony. Rzadko zaglądną do kabiny lokomotywy. A gdy już spojrzą, bywają zaskoczeni. Bo za sterami pociągu PKP Intercity siedzi Kinga Koszyk. Prowadzi składy przez pół Polski, mijając pola, miasta i ludzi na peronach. Jak mówi, w tej pracy jest wszystko: piękne widoki, ogromna odpowiedzialność, zmęczenie i satysfakcja, której nie zamieniłaby na nic innego.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

REKLAMA 0011494086

OGŁOSZENIE SYNDYKA MASY UPADŁOŚCI KINZO SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ W UPADŁOŚCI Z SIEDZIBĄ W WARSZAWIE [KRS: 0000029882, NIP: 5262145854]
SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI NALEŻĄCEJ DO KINZO SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ W UPADŁOŚCI Z SIEDZIBĄ W WARSZAWIE
SPRZEDAŻ Z WOLNEJ RĘKI – W TRYBIE PISEMNEGO PRZETARGU

Niniejszym działając jako syndyk masy upadłości dłużnika Kinzo sp. z o.o. w upadłości z siedzibą w Warszawie [KRS: 0000029882, NIP: 5262145854] ustanowiony postanowieniem z dnia 9 września 2025 r., w postępowaniu upadłościowym prowadzonym przed Sądem Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, Wydział XIII Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod sygnaturą akt **WA1M/GUP/41/2025**, na podstawie postanowienia Sędziego Komisarza z dnia 2 marca 2026 r., zaprasza do składania ofert zakupu nieruchomości, tj.:

- 1) Nieruchomości gruntowej zabudowanej, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem ewidencyjnym 104/4, o powierzchni 359 m², położonej w Warszawie przy ulicy Widochowej 49A, obręb 3-11-10, w dzielnicy Wawer, dla której Sąd Rejonowy dla Warszawy Mokotowa w Warszawie, Wydział XV Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr **WA6M/00441673/O**,

za łączną cenę nie niższą niż 1 860 000,00 PLN netto, co stanowi 100% oszacowanej wartości biorąc za podstawę wartość dla rynkowego charakteru sprzedaży [+ ewentualny podatek VAT, o ile taki będzie należny w dacie dokonania transakcji] wynikającej z operatu szacunkowego z dnia 10.11.2025 r. sporządzonego przez biegłego sądowego w osobie Moniki Ladry [Ladra].

Charakterystyka oferty:

- 1) Przetarg odbędzie na zasadach określonych w Regulaminie Przetargu Pismnego z dnia 25.02.2026 r.
- 2) Kryterium wyboru oferty będzie najwyższa cena.
- 3) **Cena wywoławcza Nieruchomości wynosi 1 860 000,00 netto PLN**, co stanowi 100% oszacowanej wartości biorąc za podstawę wartość dla rynkowego charakteru sprzedaży [+ ewentualny podatek VAT, o ile taki będzie należny w dacie dokonania transakcji] wynikającej z operatu szacunkowego z dnia 10.11.2025 r. sporządzonego przez biegłego sądowego w osobie Moniki Ladry [Ladra]. Jest to jednocześnie minimalna kwota sprzedaży.
- 4) Oferty należy składać osobiście w biurze syndyka masy upadłości w Warszawie (00-850), ul. Prosta 18, piętro XVII w dni robocze - w godzinach od 8:00 do 19:00 lub przesłać pocztą [decyduje data i godzina wpływu do biura syndyka], **w terminie wyznaczonym przez syndyka masy upadłości, tj. 17.04.2026**, przy czym w ostatnim dniu terminu do godziny 14:00, z adnotacją „NIE OTWIERAĆ – KINZO – PRZETARG – [KW WA6M/00441673/O]”.
- 5) Warunkiem uczestnictwa w przetargu jest uprzednia wpłata **wadium w wysokości 190 000,00 PLN** na rachunek bankowy masy upadłości dłużnika Kinzo sp. z o.o. w upadłości o numerze **06 8436 0003 0000 0026 9735 0001** z podaniem tytułu wpłaty „WADIUM W PRZETARGU – KINZO [KW WA6M/00441673/O], sygn. akt WA1M/GUP/41/2025, nazwa oferenta”. Uznanie rachunku bankowego masy upadłości musi nastąpić najpóźniej w dniu poprzedzającym dzień otwarcia ofert. Wszystkie opłaty bankowe związane z przelewem wadium ponosi oferent.
- 6) **Rozpoznanie ofert nastąpi w biurze syndyka przy ul. Prostej 18, piętro XVII (00-850 Warszawa) w dniu 17.04.2026 r. o godzinie 14:15.** Każdy z oferentów jest uprawniony do wzięcia udziału w posiedzeniu, na którym rozpoznane zostaną oferty.
- 7) W przypadku, jeżeli najwyższe oferty zawierają będą tę samą cenę lub ceny najwyższe różnić się będą o kwotę nie większą niż 10% wartości najwyższej oferty, syndyk zakwalifikuje te oferty do dodatkowej licytacji ustnej, która odbędzie się w tym samym miejscu, tj. w biurze syndyka przy ul. Prostej 18, piętro XVII, 00-850 Warszawa, w tym samym dniu (dniu otwarcia ofert, wyznaczonym przez syndyka masy upadłości) o godzinie 14:30. W przypadku licytacji kwota postąpienia wynosić będzie 10 000,00 PLN.
- 8) Koszty transakcyjne sprzedaży ponosi wyłącznie nabywca.
- 9) Zawarcie umowy sprzedaży nastąpi najpóźniej w ciągu 3 miesięcy od wyboru oferty. Termin ten może ulec wydłużeniu w przypadku zaistnienia przyczyn niezależnych od syndyka masy upadłości.

Wszelkie informacje na temat Nieruchomości objętej niniejszym ogłoszeniem oraz regulamin przetargu wraz z załącznikami można uzyskać kontaktując się pod numer telefonu: **+48 32 308 00 00** w dni robocze od poniedziałku do piątku w godzinach od 8:00 do 19:00, jak również drogą elektroniczną pod adresem **kontakt@rzmk.pl**.

www.dawro.pl

Przez dziesięciolecia kabina lokomotywy była miejscem niemal wyłącznie dla mężczyzn. Dziś powoli się to zmienia, choć kobiety w tym zawodzie wciąż należą do rzadkości. Coraz częściej za sterami pociągów dalekobieżnych można jednak zobaczyć także maszynistki. Jedną z nich jest Kinga Koszyk, która codziennie prowadzi składy przez południe Polski.

Gdy maszynistą okazuje się kobieta

Kiedy pociąg wjeżdża na peron, pasażerowie najczęściej patrzą na wagony. Czasem jednak ich wzrok wędruje w stronę kabiny maszynisty. I wtedy pojawia się moment zaskoczenia. - Mój widok w kabinie bywa zaskakujący dla pasażerów, a czasami także dla obsługi pociągu - uśmiecha się Kinga Koszyk, maszynistka. - Tym bardziej że wielu pracowników drużyn konduktorskich zna mojego brata, który pracuje jako maszynista już od 10 lat. Spotykam się z tego powodu z miłymi reakcjami. Fajnie też, jak kierownik pociągu przyjdzie po wspólnej pracy i powie: „To była świetna jazda”. Czuję się wtedy doceniona i mam wrażenie, że nieistotne, czy jest się kobietą, czy mężczyzną, tylko że dobrze się wykonuje swój zawód.

Choć kobieta w kabinie maszynisty to dla wielu wciąż widok niecodzienny, zwykle pasażerowie reagują z sympatią. - Chociaż raz zdarzyło się, że kiedy wjechałam pociągiem do Opola Głównego, stanęłam w drzwiach kabiny, odbierając dokumenty. Wtedy podszedł pasażer, spojrzał i z lekkim zaskoczeniem stwierdził: „Kobieta”. Po chwili mrugnął i dodał: „Tak myślałam”. Do dziś nie wiem, czy był to komplement - wspomina z uśmiechem.

Kiedy opowiada znajomym, czym się zajmuje, reakcja bywa niemal zawsze taka sama: zdzi-

wienie. Bo przed rozmówcą stoi piękna, zgrabna kobieta, a nie ktoś, kto w potocznym wyobrażeniu pasuje do kabiny lokomotywy. - Zdziwienie to jest najczęstsza reakcja. Ktoś musi o mnie wcześniej słyszeć, żeby nie być zaskoczonym. Zdaję sobie sprawę, że nie pasuję do stereotypowego wyobrażenia maszynisty. Częstą reakcją jest też podziw. I pytanie: Czy ty się nie boisz? Ja też sobie zadaję to pytanie. Pamiętam, że na początku bałam się, ale zawsze byłam osobą, która działała mimo strachu. Lubię wyzwania. Nie czekam, aż się poczuje gotowa. Pocucie bycia gotowym, to złudzenie. Jeśli czegoś bardzo chcemy i czujemy, że być może to jest to, trzeba działać.

Z zewnątrz praca maszynisty wielu osobom wydaje się prosta. Wystarczy usiąść, przesunąć dźwignię i pociąg jedzie. - Myślę, że dalej funkcjonuje taki obraz maszynisty: człowiek w białej koszuli, który się nie ubrudzi. Lokomotywa nie może skrócić, więc co to właściwie za sztuka poprowadzić pociąg? A to jednak wymaga skupienia, jest zmęczenie, odpowiedzialność. I naprawdę można się ubrudzić w tej pracy - uśmiecha się.

Pani Kinga jest samodzielnym maszynistą od półtora roku. W zawodzie, który przez dekady uchodził za typowo męski, wiele kobiet musiało dowieść swojej wartości. - Mam trochę inne podejście. Choć moje początki nie były łatwe. Teraz czuję, że ta praca jest dla mnie na tyle fajna, przyjemna i odnajduję się w tym, że to widać i to wystarczy. Nigdy nie miałam sytuacji, żeby któryś z kolegów dał mi odczuć, że ja tam nie pasuję. Ale może się boją mojego brata, bo groźnie wygląda? - śmieje się.

Brat rzeczywiście jest ważną częścią tej historii. Jako pierwszy z rodzeństwa wybrał kolej. - Jest bardzo dumny ze mnie. Ostatnio mijaliśmy się w Bochni, on stał pociągiem na peronie, ja wjeżdżałam z drugiej strony. Takie

spotkanie z bratem w pracy to jest coś niesamowitego dla mnie. Mogliśmy sobie pomachać, jak mają w zwyczaju witać się mijający się maszyniści. A jeszcze jakiś czas temu walczyliśmy na poduszki o władzę w domu rodzinnym - wspomina.

Maszynista widzi Polskę inaczej niż większość ludzi - z perspektywy torów, kabiny i peronów, na których rozgrywają się małe ludzkie historie.

- Zawsze wzrusza mnie, kiedy wjeżdżam na jakąś stację i ludzie czekają na tych, którzy przyjadą pociągiem. To wspaniałe uczucie, mieć kogoś, kto czeka. Kocham podróże i chcę zwiedzać świat, lecz powrotem towarzyszy wyjątkowe uczucie, gdy jest ktoś, kto mnie oczekuje. Bywam świadkiem czułych powitań, czasem widzę w lusterku, jak ktoś biegnie za pociągiem i macha na pożegnanie. Widzę ludzi wypatrujących bliskich w drzwiach wagonów. Często pomagają sobie obcy ludzie przy przenoszeniu bagaży. Ktoś po wyjściu z mojego pociągu sięga po telefon i prawdopodobnie wysła SMS: „Dojechałam”. Takie widoki są rozczulające.

Jednocześnie pani Kinga ma świadomość, że za kabiną lokomotywy, w wagonach, siedzą setki pasażerów. Odpowiedzialność w tej pracy jest ogromna. - Staram się nie myśleć o liczbie pasażerów, których mam za sobą. Przypomina mi się to dopiero na stacjach, gdy wjeżdżam i widzę zatłoczony peron - czasem aż ciemny od ludzi. Wtedy czuję odpowiedzialność. Mam poczucie dobrze spełnionego obowiązku, gdy wiem, że dowiozłam ludzi bezpiecznie.

Droga na kolej zapisana w genach

Kiedy pociąg rusza z peronu, w kabinie jest cisza. Kilkaset ton stali zaczyna toczyć się po torach, a przed maszynistką rozciąga się wąski pas torów. - Przez pierwsze dziesięć kilometrów czułam stres, natomiast później poszło

już z góry - wspomina Kinga Koszyk.

To był jej pierwszy samodzielny przejazd, kiedy jechała sama, bez pasażerów i bez drużyny konduktorskiej. Tylko ona i maszyna.

Dziś Kinga jest pełnoprawną maszynistką w PKP Intercity. - Moja rodzina od wielu pokoleń jest związana z koleją. Mój pradziadek był droźnikiem, dziadek maszynistą, a tata jest rewidentem taboru kolejowego. Również mój brat jest maszynistą - opowiada.

Kolej była dla niej naturalnym wyborem, kiedy szukała pierwszej pracy. Tak trafiła do Kolei Śląskich jako członkini drużyny konduktorskiej. - Moje obowiązki to było głównie sprawdzanie biletów i czuwanie nad pasażerami. Jednak wtedy po raz pierwszy podejrzałam pracę maszynisty. Zawsze mnie korciło, żeby zajrzeć do kabiny lokomotywy. W trakcie jazdy wydawało mi się to niesamowite, że pociąg tak szybko jedzie, a maszynista bez trudu nad nim panuje. Zrozumiałam, że darzę wyjątkowym szacunkiem osoby wykonujące ten zawód. I wtedy poczułam, że też tak chcę - wspomina pani Kinga.

Nie była to jednak łatwa decyzja. - W tamtym czasie nie słyszałam o tym, żeby kobieta prowadziła pociąg i brakowało mi odwagi. A w tej pracy jest ona niezbędna, przynajmniej na początku, kiedy wszystko wydaje się nowe.

Życie potoczyło się inaczej. Kinga założyła rodzinę, urodziła synka. A potem poszła na studia. Została nauczycielką wychowania przedszkolnego, mogła uczyć także języka angielskiego. - Uwielbiam nauczanie i dzieci, lecz to nie była moja droga życiowa. Nie czułam tego.

Wróciła więc na kolej - tym razem do PKP Intercity. Pracowała w kasie. Chciała stabilizacji, stałych godzin. Tak minęło trzy i pół roku. W tzw. międzyczasie jej brat został maszynistą w PKP Intercity.



FOT. ANDRZEJ BANAS

Kinga Koszyk: Moja rodzina od wielu pokoleń jest związana z koleją. Mój pradziadek był dróżnikiem, dziadek maszynistą, a tata jest rewidentem taboru kolejowego

- Pewnego dnia tata powiedział mi, że jest nabór na licencję maszynisty - to takie „kolejowe prawo jazdy”, po zdobyciu którego trzeba jeszcze odbyć szkolenie na świadectwo maszynisty. Rodzice mówili: „Powinnaś spróbować!”.

Kurs łączyła z pracą: od poniedziałku do piątku sprzedawała bilety kolejowe, a od piątku wieczorem do niedzieli miała zajęcia. - Będąc na kursie, poczułam, że to jest to, co chcę robić. Jednak już zdobycie licencji było wyzwaniem. Chociaż pracowałam na kolei od dobrych kilku lat, okazało się, że jest sporo rzeczy, których nie wiem.

Gdy Kinga zdała egzamin, tego samego dnia dowiedziała się, że PKP Intercity prowadzi nabór na świadectwo maszynisty. Złożyła dokumenty. - Tydzień później, w dniu moich urodzin, dowiedziałam się, że zostałam przyjęta. To był wyjątkowy urodzinowy prezent.

Na torach nie ma miejsca na błąd

Po zdobyciu licencji panią Kingę czekało pół roku szkolenia teoretycznego: warsztat w Krakowie, przeglądy lokomotyw, staż z rewidentami, wykłady z przepisów i techniki prowadzenia pociągu. A potem osiemset godzin jazd pod nadzorem. - Na początku byłam obserwatorem, wtedy jeszcze nie mogłam prowadzić, ale później już było wręcz wskazane, żeby jeździć jak najczęściej. Jest wiele różnych rodzajów maszyn, dużo szlaków kolejowych, wszędzie się jeździ inaczej. Inaczej się prowadzi EZT-y, przypominające budowę tramwaje, a inaczej lokomotywę i piętnaście wagonów. To naprawdę było dla mnie wyzwaniem - mówi pani Kinga.

Pierwszy przejazd - służbowy, z Katowic do Krakowa - pamięta doskonale. Najpierw czuła samotność i napięcie, ale po kilku kilometrach wszystko minęło i została radość z jazdy.

Natomiast pierwszy przejazd pociągiem z pasażerami był zupełnie nieplanowany. - Byłam na wycieczce w Wiśle, gdy zadzwonił telefon z pytaniem, czy wyjadę tego dnia wieczorem na nocną do Bielska. Obliczyłam, że mam godzinę, żeby wrócić do domu i wyszukać się do pracy. Zdążyłam.

Nie powiedziała kierownikowi, że to jej pierwszy samodzielny kurs z ludźmi. - Nie chciałam człowieka niepotrzebnie stresować. I to jeszcze w nocy - uśmiecha się.

Dziś jej pracę wyznacza grafik. W marcu ma piętnaście służb. Większość z nich to 12 godzin, z czego większość spędzi na prowadzeniu pociągu. Najczęściej jeździ z Katowic do Przemysła - cztery godziny w jedną stronę. Czas administracyjny przed odjazdem, kontrola trzeźwości, analiza rozkładu. Potem droga. Po dotarciu - manewry, odczepianie lokomotywy, formowanie nowego składu, testy, procedury, dokumentacja i powrót. - Czasami mam inną trasę: przyjeżdżam z Katowic do Krakowa, potem wracam, robię kurs do Wrocławia i znów wracam. Zależy, jaka jest potrzeba pracodawcy.

Jej ulubione trasy to nie tylko rozkładowe z punktu A do punktu B. To pejzaże, zieleni lasów i błękit nieba. To także cisza na odcinkach pomiędzy stacjami. - Bardzo lubię jeździć do Przemysła, a zwłaszcza pokonywać ostatni etap - od Rzeszowa do końcowej stacji. Panuje tam spokój, są pola, domy, ludzie spacerują lasem, jest cicho. To zupełnie inny klimat niż w mieście. I te widoki: wschody, zachody słońca - w tej pracy to jest coś pięknego. Uwielbiam patrzeć na niebo. Natura nam prezentuje takie spektakle, że aż się łezka w oku kręci - mówi pani Kinga.

Drugą jej ulubioną trasą jest ta do Poznania. - Droga prowadzi przez las, zwłaszcza gdy jadę trasą przez Katowice, Lubliniec i Ostrów Wielkopolski. Nato-

miast jak już wracam przez Wrocław, mam wrażenie, że jadę autostradą kolejową, kilometry uciekają bardzo szybko, a ja lubię jechać trochę wolniej, aby poczuć klimat.

Trzecie ulubione miejsce to Zakopane. - Tam są cudne widoki, chociaż szlak jest wymagający, więc trzeba być bardzo skupioną. Pociąg wybaczają mniej na wzniesieniach i dolinach. Wyzwaniem bywa czasem, by wyjechać autem pod stromą górkę, zaręczam, że pociągiem jest jeszcze trudniej - uśmiecha się pani Kinga.

Zapytana o porę dnia, w jakiej woli pracować, odpowiada, że i jazda w dzień, i jazda w nocy mają swoje plusy i minusy. - W nocy widać doskonale semafor, świecą wyraźnie w ciemności. W dzień słońce potrafi oślepić. O zmierzchu pojawia się więcej zwierzyzny, dlatego trzeba zachować szczególną ostrożność, zwłaszcza że po zachodzie słońca widoczność wzdłuż torów jest znacznie gorsza.

Także pogoda ma znaczenie. Burza czy opady śniegu ograniczają widoczność, a wtedy trudniej się prowadzi. Praca wymaga większego skupienia, co powoduje duże zmęczenie. - Pociąg na mokrych torach się ślizga. Wolniej się rozpędza i mniej skutecznie hamuje. Nawet upał czy mróz potrafi być zagrożeniem dla bezpieczeństwa i punktualności kolei. Maszynista powinien być zawsze czujny. Z każdej strony coś na nas czyha - zauważa.

Dlatego ten zawód nie wybacza nonszalancji. Liczy się sumienność, dyscyplina, poczucie odpowiedzialności, punktualność, a także bycie skrupulatnym i umiejętność szybkiego podejmowania trafnych decyzji. - Przepisów jest naprawdę dużo, one się zmieniają. Trzeba stale być na bieżąco.

Z pracą maszynisty wiązą się więc kwartalne pouczenia, szkolenia z maszynistami instruktorami, ciągłe doskonalenie i egzaminy okresowe. - Lubie, gdy jazda pociągiem sprawia mi przyjemność, kiedy wiem, że nad nim panuję, że mogę się za tym utrzymać w sposób, który jest przyjemny dla pasażerów.

Czasem pani Kindze udaje się odrobić opóźnienie. Ale nie zawsze jest to możliwe. - Ostatnio miałam taką sytuację, że przez jeden niesprawny zawór w jednym z wagonów pociąg był opóźniony o osiemdziesiąt minut. Z powodu pozornie drobnej usterki nie zostały osiągnięte określone parametry, a bez tego nie wolno było nam jechać.

Bywają też inne napięcia, na przykład informacja od dyżurnego ruchu lub maszynisty innego pociągu, że ktoś kręci się przy torach. - Kiedy muszę przejechać przez ten odcinek, uważnie wypatruję, czy ktoś nie chce wtargnąć na tory. To jest dla mnie zawsze stresujące.

O wypadkach mówi krótko: nie mam na nie wpływu. Naj-

wiekszy stres to myśl, że można było czegoś uniknąć. - Nie chciałabym mieć takiego przekonania, że miałam na coś wpływu i nie podołałam temu. Nie chciałabym zawieść wszystkich i siebie.

Miedzy nocną zmianą a porannym kursem

Prowadzenie pociągu to jednak nie tylko romantyczny obraz podróży przez kraj. To także zmęczenie, które przychodzi razem z nieregularnym rytmem pracy. - Na zmęczenie wpływa wiele czynników. Zdarzają się noce, po których kończę pracę o dziesiątej rano, wtedy mam wolne przez resztę dnia, a kolejnego ranka muszę być gotowa na szóstą. Wtedy pojawia się dylemat - odsypiać dalej, czy wytrzymać do wieczora i położyć się wcześniej, by wypaść się na następny dzień. Pomaga mi planowanie snu. Staram się wyciszyć, unikać rzeczy, które podnoszą ciśnienie - bo dobry sen to podstawa - mówi pani Kinga.

Zmęczenie pojawia się także wtedy, gdy na torach dzieje się coś nieprzewidzianego. Wyzwaniem są nagłe sytuacje, wymagające pociągi i stres związany z opóźnieniami - z wydarzeniami, na które nie zawsze mamy wpływ. - Gdy jest jakieś opóźnienie, czasami bardzo długo nie ma konkretnej informacji. Chcielibyśmy przekazać pasażerom wiadomość, ale często sami nie wiemy, o której po-

jedziemy. Nie wiemy, który pociąg z wielu pojedzie jako pierwszy. Dyżurny ruchu, który o tym decyduje, ma wiele obowiązków, a ruch kolejowy wielu uczestników. W takich chwilach czekamy na rozwój wypadków razem z pasażerami, a ci, co zrozumiałe, nie zawsze są wyrozumiali.

Kiedy pani Kinga czuje zmęczenie lub stres, otwiera okno, wietrzy kabinę, a podczas postoju stara się wstać choćby na chwilę, żeby się pozbyć uczucia senności. Ale gdy wydarzyłoby się coś poważniejszego - na przykład nagłe pogorszenie samopoczucia maszynisty - kolej ma przygotowane procedury, niewiele rzeczy zostawia się przypadkowi. Każdy scenariusz ma swój plan, także ten najmniej oczekiwany. Maszynista przez cały czas pozostaje w kontakcie z dyspozytorami. To oni często wiedzą najszybciej, co dzieje się na odległych szlakach, gdzie są utrudnienia i jakie decyzje trzeba podjąć. - Gdybym gorzej się poczuła i nie mogła dalej prowadzić pociągu, dyspozytor ma obowiązek przydzielić mi zastępstwo - tłumaczy pani Kinga.

Na kolei są maszyniści, którzy pozostają w gotowości właśnie na takie sytuacje. Część pracuje przy manewrach, inni pełnią tzw. służby depo - wykonują powołane im obowiązki w pobliżu sekcji, gotowi do wyjazdu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Cza-

sem zastępują kolegę, który z powodu nieprzewidzianych utrudnień na trasie zbliża się do limitu czasu pracy. Po dwunastu godzinach prowadzenia pociągu maszynista nie może już jechać dalej. Wtedy ktoś musi go zmienić.

„Moje miejsce”

Gdy próbuje jednym zdaniem opisać swoją pracę, przez chwilę się zastanawia. - „Życie to wyjątkowa podróż pełna magicznych momentów” - to czuję w pracy. Nie zamieniłabym jej na nic innego.

Choć zawód maszynisty przez dziesięciolecie był niemal wyłącznie męski, pani Kinga nie czuje się na kolei samotna. Wręcz przeciwnie. - Czuję ogromne wsparcie kobiet. Nie tylko koleżanek maszynistek, ale też kierowniczek pociągów i konduktorek. Trzymamy sztamę - mówi. - Czuję, że trafiłam na ludzi, którzy mnie wspierają, i że ta praca daje mi ogromną satysfakcję.

Jak dodaje, jej dotychczasowe życie teraz nabrało innego znaczenia - jakby tor, którym jeździ, prowadził nie tylko przez kolejne stacje, lecz także przez miejsca w niej samej. Każdy dzień za nastawnikiem uczy odpowiedzialności i pokory, jednocześnie dając jej poczucie, że robi coś ważnego. Choć ta droga nie zawsze jest łatwa, wie, że to właśnie jej miejsce - miejsce, do którego wraca z radością.

REKLAMA

0011481999

**PsychoMEDIC.pl**
Sieć Klinik Psychologiczno-Psychiatrycznych

**736 363 636**

KLINIKA PSYCHOMEDIC.PL – NAJLEPSZA KLINIKA PSYCHIATRYCZNO-PSYCHOLOGICZNA W POLSCE.

Klinika PsychoMedic.pl to wiodący ośrodek psychiatryczny w Polsce, który od lat wyróżnia się wysokimi standardami opieki oraz indywidualnym podejściem do pacjentów.

Specjalizuje się w kompleksowej diagnostyce i leczeniu ADHD, depresji oraz leków, oferując skuteczne i bezpieczne terapie zarówno dla dzieci, jak i dorosłych. Zespół kliniki tworzą najlepsi psychiatrzy w Warszawie i w całej Polsce, którzy dzięki wiedzy, doświadczeniu i empatii zapewniają pacjentom profesjonalną opiekę i wsparcie psychiczne na najwyższym poziomie.



MIASTA, W KTÓRYCH DZIAŁAMY:
Warszawa → Łódź → Kraków
→ Wrocław → Poznań → Gdańsk
→ Katowice → Chorzów
→ Bydgoszcz → Lublin → Toruń

- » Klinika PsychoMedic.pl zdobyła liczne nagrody branżowe, które potwierdzają najwyższą jakość świadczonych usług oraz innowacyjne podejście do psychiatrii.
- » Sukces kliniki potwierdzają również ponad 30 000 pozytywnych opinii pacjentów, którzy korzystali z diagnostyki
- » ADHD, terapii depresji, leczenia lęków, wsparcia w kryzysach psychicznych oraz kompleksowych programów terapeutycznych.
- » Zaufanie pacjentów jest dla kliniki priorytetem i stanowi fundament jej codziennej pracy. PsychoMedic.pl stawia na nowoczesne metody diagnostyczne i indywidualnie dopasowane plany terapeutyczne. Każda terapia jest dokładnie dopasowana do potrzeb pacjenta, dzięki czemu leczenie jest skuteczne i komfortowe.
- » Klinika stale rozwija kompetencje zespołu, wdraża innowacyjne rozwiązania i utrzymuje najwyższe standardy opieki psychiatrycznej w Polsce.
- » Klinika PsychoMedic.pl jest liderem w dziedzinie psychiatrii w kraju, łącząc profesjonalizm zespołu z wysokim poziomem satysfakcji pacjentów.
- » Zaufanie pacjentów, liczne nagrody oraz doświadczenie najlepszych specjalistów sprawiają, że klinika pozostaje wiodącym ośrodkiem w diagnostyce i leczeniu ADHD, depresji i lęków, ustanawiając standardy opieki psychiatrycznej w Polsce.

Umów wizytę już dziś!
Jesteśmy otwarci 7 dni w tygodniu
www.psychomedic.pl

Sebastian Fitzek jest jednym z najpopularniejszych autorów thrillerów w Europie. Jego książki sprzedały się w ponad dwudziestu milionach egzemplarzy

Maciej Szymkowiak

LUDZIE BOJĄ SIĘ NAJBARDZIEJ TEGO, CO SIEDZI W ICH GŁOWIE

Jak zostać jednym z najpopularniejszych pisarzy na świecie?

Zawsze ogromną rolę odgrywa szczęście. Wielu ludzi uważa, że o sukcesie decyduje wyłącznie ich praca. Prawda jest taka, że książka, czyli twoja praca, jest tylko fundamentem. Musi trafić w jakiś czuły punkt u czytelników, ale znalezienie się we właściwym miejscu o właściwym czasie i to, że ludzie polecają twoją książkę innym, to zawsze ogromna dawka szczęścia. W 2006 roku, kiedy ukazała się moja pierwsza powieść „Terapia”, miałem naprawdę dużo szczęścia. Na rynku było tylko bardzo niewiele egzemplarzy. Statystycznie było właściwie niemożliwe, żeby stała się bestsellerem. Ale zaczęła dziać się pocztą pantoflowa i miałem szczęście. Książka została bestsellerem. To był początek mojej kariery pisarskiej.

Sprzedawałeś łącznie ponad 20 milionów książek. Droga na szczyt trwała 20 lat. Sukces nie przyszedł z dnia na dzień.

Ta droga zaczęła się w 2000 roku, kiedy zacząłem pisać. Na publikację pierwszej powieści czekałem sześć lat. Wysłałem rękopis do 15 wydawnictw. Dwanaście go odrzuciło, a trzy nie odpowiedziały do dziś. Tak więc początek nie był szczególnie udany. W końcu jedno wydawnictwo postanowiło spróbować. I znowu miałem szczęście, ludzie naprawdę zainteresowali się książką, ale minęło jeszcze dziesięć lat, zanim moja powieść po raz pierwszy znalazła się na pierwszym miejscu listy bestsellerów „Spiegla” w twardej oprawie. I to było wspaniałe, ponieważ nie był to sukces napędzony jedynie marketingowym hype’em. Marketing może mieć duży wpływ, ale zwykle działa tylko przez krótki czas. Ja natomiast zbudowałem grono czytelników, którzy towarzyszyli mi przez bardzo długą drogę. Teraz świętuję 20-lecie pracy jako autor. Moja pierwsza powieść ukazała się w 2006

roku, mamy 2026 i wciąż mogę pisać. Jestem więc naprawdę szczęśliwym człowiekiem.

Czujesz się jak gwiazda rocka? Spotykasz się z fanami w ogromnych, kilkunastotysięcznych halach.

Największa publiczność, do której mówiłem, liczyła około 17 tysięcy osób w Lanxess Arenie w Kolonii, czyli największej hali w Niemczech. Dwa lata temu miałem trasę po arenach i łącznie przyszło na nią około 160 tysięcy osób. To było naprawdę niesamowite. Prawda jest też taka, że zawsze chciałem zostać muzykiem. Nie byłem, jednak wystarczająco dobry. Zawsze marzyłem o występowaniu na scenach muzycznych. Teraz stoję na scenie z książkami, więc w pewnym sensie spełniłem swoje marzenie, tylko nie w taki sposób, jak sobie to wyobrażałem.

Wciąż grasz na perkusji?

Tak, nadal gram. Teraz mam elektroniczny zestaw perkusyjny, więc mogę grać w słuchawkach. Moi sąsiedzi bardzo to doceniają.

Jaki jest twój ulubiony zespół?

Jest ich wiele, ale byłem na wielu koncertach Depeche Mode. Zazwyczaj korzystają z automatów perkusyjnych, ale kiedy grają na żywo, mają fantastycznego perkusistę, Christiana Eignera. W 1986 roku byłem na swoim pierwszym wielkim koncercie. To był koncert Depeche Mode w berlińskiej Waldbühne. Ale tak naprawdę nie byłem tam dla Depeche Mode, tylko dla zespołu z naszej szkoły, który był supportem. To sprawiło, że sam zacząłem marzyć o występowaniu na scenie.

Pomyślałem wtedy: skoro oni mogą stać na największej plenerowej scenie w Berlinie, to może kiedyś ja też będę mógł. Teraz jest rok 2026 i będę tam świętował 20-lecie mojej kariery pisarskiej. Będziemy występować dwa wieczory z rzędu. Waldbühne ma pojemność ok. 22 tysięcy widzów. Kiedy miałem 14 lat, nigdy nie przypuszczałem, że będę tam czytał fragmenty swoich książek.

Jak wygląda twój typowy dzień w pracy?

Właściwie bardzo się cieszę, że nie mam typowego dnia pisania, bo dzięki temu nigdy się nie nudzę. Dla kogoś, kto obserwowałby mnie przy pracy, byłoby to jednak bardzo nudne. Wszystko dzieje się w mojej głowie. Sam proces powstawania książki jest dość nudny do oglądania. Kiedy piszę pierwszy szkic, mam na to około cztery miesiące i piszę codziennie. Po odprowadzeniu dzieci do szkoły albo przedszkola, około dziewiętej rano siadam przy biurku i zaczynam pisać. Piszę tak długo, jak długo mam dobre poczucie, że to działa. W tym czasie pracuję codziennie. Nie jeżdżę na wakacje, nie chodzę na urodziny i zwykle nie udzielam wywiadów. Jak więc można się domyślić, pierwszy szkic mam już teraz skończony, inaczej nie przyjechałbym do Poznania. Jak powiedział Hemingway: „Pierwszy szkic zawsze jest fatalny”. Mam dwóch redaktorów i kiedy wysyłam im pierwszy szkic, zawsze mają wiele pytań. Wtedy zaczyna się proces przepisywania. W jego trakcie mogę podróżować i pracować w różnych miejscach, byle nie było zbyt głośno. Ten etap trwa kolejne trzy lub cztery miesiące. Zanim jednak zacznę pisać, dużo czasu spędzam na myśleniu, przygotowaniu konspektu i researchu. Poza tymi trzema-czterema miesiącami intensywnego pisania każdy dzień wygląda inaczej. Udzielam wywiadów, takich jak ten, spotykam nowych ludzi, robię research, jeżdżę na targi książki, podróżuję do innych krajów albo czytam scenariusze ekranizacji. Każdy dzień ma coś wspólnego z książkami, ale każdy jest inny.

dzam na myśleniu, przygotowaniu konspektu i researchu. Poza tymi trzema-czterema miesiącami intensywnego pisania każdy dzień wygląda inaczej. Udzielam wywiadów, takich jak ten, spotykam nowych ludzi, robię research, jeżdżę na targi książki, podróżuję do innych krajów albo czytam scenariusze ekranizacji. Każdy dzień ma coś wspólnego z książkami, ale każdy jest inny.

Podsumowując: jak długo piszesz jedną książkę?

Zazwyczaj od dziewięciu do dwunastu miesięcy.

W najnowszej powieści „Mimika” napisałeś, że zabicie kogoś może być łatwe, ale życie z tym jest bardzo trudne. Uważasz, że to prawda?

Tak, myślę, że to prawda. Wierzę, że większość ludzi na świecie jest dobra. Dobro jest większością, a zło wyjątkiem, ale pod presją, w pewnych okolicznościach, ludzie mogą zostać doprowadzeni do tego, by kogoś zabić. Jeśli zagrożone jest twoje życie, a szczególnie życie twoich dzieci, ekstremalna sytuacja może do tego doprowadzić. Jeśli należysz do tych dobrych ludzi, życie z tym później jest bardzo, bardzo trudne. Widać to na przykładzie wielu żołnierzy wracających z wojny. Cierpią na zespół stresu pourazowego. Częścią tego jest poczucie winy związane z odebraniem komuś życia, nawet jeśli było to w pewnym sensie uzasadnione.

Pisząc tę książkę - „Mimikę” - zasięgnąłeś języka od eksperta od mimiki twarzy, Dirka Eilerta. Czego się od niego dowiedziałeś?

Och, nauczyłem się naprawdę bardzo dużo. Przede wszystkim dowiedziałem się, że coś takiego jak „pokerowa twarz” w zasadzie nie istnieje. Można ukryć oczy, ale to nie tylko oczy zdradzają nasze emocje. Poza tym te reakcje są czymś, czego nie da się kontrolować. To odruchy trwające około 300 milisekund.

Na przykład?

Kiedy wchodzisz do pomieszczenia i czujesz brzydkie zapachy albo coś cię obrzydza, reagujesz nosem. Marszczysz go. Nie da się tego naprawdę ukryć. To po prostu się błyskawicznie dzieje, albo kiedy naprawdę okazujesz komuś pogardę i uważasz tę osobę za okropną, jeden kącik ust unosi się na ułamek sekundy. Znowu na około 300 milisekund. Tylko około 10 procent ludzi na świecie potrafi świadomie unieść jeden kącik ust, jeśli się ich o to poprosi. Większość podnosi oba albo robi zupełnie inny ruch. Każdy człowiek jednak potrafi zrobić to naturalnie, kiedy naprawdę czuje pogardę.

Ciekawe i co jeszcze?

Kolejna rzecz, której się nauczyłem, to fakt, że mimika jest czymś, z czym się rodzimy. Jeśli porównamy ją z mową ciała, to mowa ciała jest czymś, czego się uczymy. W różnych krajach pewne gesty mogą oznaczać zupełnie co innego. Na przykład w Tajlandii gest uniesionego kciuka będzie uznany za obraźliwy, podczas gdy w Niemczech oznacza „wszystko w porządku”. A jeśli jesteś nurkiem i wykonasz ten sam gest pod wodą, to znaczy: „wynurz się”.

Mowa ciała jest więc wyuczona, natomiast mimika jest czymś wrodzonym.

To także powód, dla którego możemy oglądać filmy z innych kultur. Na przykład indyjski film i wciąż rozumiemy, czy bohater się śmieje, czuje radość albo cierpienie. Inna ważna rzecz jest taka, że mimika nie polega na czytaniu w myślach. Ona mówi nam coś o emocjach. Pokazuje, czy emocje są zgodne z tym, co ktoś mówi. Na przykład ktoś może powiedzieć: „Jestem bardzo szczęśliwy”, ale jego oczy się nie uśmiechają. Wtedy możesz mieć wątpliwości, czy naprawdę mówi prawdę. Bardzo częstym błędem, szczególnie w mediach i hollywoodzkich filmach, jest przekona-

nie, że istnieje jakiś konkretny sygnał, który dowodzi, że ktoś kłamie, ale mimika nie służy wykrywaniu kłamstw. Nie można z całą pewnością stwierdzić, czy ktoś mówi prawdę, czy kłamie.

Chodzi o emocje?

Oczywiście, jeśli bardzo uważnie patrzysz komuś w oczy, czasem możesz zauważyć coś, co sprawi, że zaczniesz się zastanawiać nad szczerością tej osoby, ale to jest bardzo trudne i zazwyczaj tylko wyszkoleni eksperci potrafią zadawać wtedy właściwe pytania. To fascynująca dziedzina i dziś jest szczególnie ważna. Żyjemy w świecie, w którym coraz rzadziej rozmawiamy twarzą w twarz. My teraz rozmawiamy bezpośrednio, co bardzo ułatwia komunikację, ale w wielu sytuacjach - na przykład podczas spotkań online - masz dziesięć osób na rozmowie w Zoomie i właściwie nikt ze sobą nie rozmawia. Nawet nie wiesz, na kim powinienes się skupić. W mediach społecznościowych często mamy tylko tekst. Nie wiemy, jak nasze słowa wpływają na innych ludzi. Czasami mogą kogoś zranić, a gdybyśmy widzieli reakcję tej osoby, prawdopodobnie wybralibyśmy inne słowa. W efekcie ludzie tracą zdolność odczytywania emocji z twarzy innych. A to ma związek z empatią. Tracimy empatię, ponieważ ludzie spędzają coraz więcej czasu, patrząc w telefony i pisząc wiadomości. Używamy emoji, żeby dodać trochę emocji, ale znacznie lepiej byłoby po prostu rozmawiać i widzieć, jak ktoś reaguje na nasze słowa.

Tak, a emoji bywają ironiczne.

Dokładnie. Można wysłać komuś uśmiechniętą emotikonę, ale w rzeczywistości może to być ironia. Wtedy komunikacja staje się jeszcze bardziej skomplikowana. To także jeden z powodów, dla których ludzie czasem publikują w internecie agresywne komentarze albo mówię nie-

*W BARDZO EKSTREMALNYCH
SYTUACJACH NAWET DOBREGO
CZŁOWIEKA MOŻNA DOPROWA-
DZIĆ DO TEGO, BY ZABIĆ*

nawiści. Mogą to robić, ponieważ nie widzą, jak ich słowa wpływają na innych. Nie widzą mimiki drugiej osoby, nie widzą, czy ktoś zaczyna płakać albo się boi. Dlatego właśnie mimika i umiejętność jej rozumienia jest tak ważna we współczesnym społeczeństwie.

Studiowałeś prawo, ale prawnikiem nie byłeś?

Nie, właściwie nigdy nie pracowałem jako prawnik. Zdałem pierwszy egzamin prawniczy, a potem napisałem doktorat z prawa autorskiego. Zawodowo pracowałem jednak jako redaktor naczelny i dyrektor programowy w publicznej stacji radiowej. Później zacząłem pisać książki. Muszę jednak powiedzieć, że bardzo lubiłem studia prawnicze. A gdybym został prawnikiem, myślę, że byłbym adwokatem.

Kto najczęściej popełnia przestępstwa?

Statystycznie rzecz biorąc, najbardziej agresywną grupą społeczną są młodzi mężczyźni. Szczególnie wtedy, gdy są sfrustrowani, wtedy problem staje się coraz większy. Co ciekawe, statystycznie większość ofiar to również mężczyźni, ponieważ mężczyźni często walczą między sobą. Są jednak przestępstwa, w których znacznie częściej ofiarami są kobiety. Niestety to właśnie o takich przestępstwach często piszę: o gwałtach, przemoc domowej czy różnych formach przemocy. Seryjny morderca sam w sobie jest już wyjątkiem. Kobieta - seryjna morderczyni byłaby więc wyjątkiem od wyjątku. Istnieją więc przestępstwa, w których kobiety mają statystycznie większe prawdopodobieństwo zostania ofiarą. To również jeden z powodów, dla których większość czytelników powieści kryminalnych - a także widzów programów true crime - stanowią kobiety.

Skoro wspominasz seriale i programy typu true crime. Co sądzisz o popularnych produkcjach o mordercach takich jak Ed Gein czy Jeffrey Dahmer?

Jako pisarz czerpię lęki i okrucieństwo z prawdziwego życia, ale w moich książkach w pewnym sensie je łagodzę. Bo gdybym opisał coś dokładnie tak, jak wydarzyło się w sprawie Jeffreya Dahmera, nikt by w to nie uwierzył. Nawet policja nie wierzyła w to, czego dopuścił się Dahmer. Była taka sprawa z młodym chłopcem - nazywał się Kone-rak - którego policja odesłała z powrotem do Dahmera. Kiedy oglądamy programy true crime, musimy przyznać, że w około 90 procentach przypadków jest to po prostu



FOT. MARCUS HOEHN

Sebastian Fitzek: Kiedy oglądam dokumenty true crime, zawsze zadaję sobie pytanie: dlaczego to oglądam? Czy naprawdę potrzebuję tego do researchu? Dlatego oglądam bardzo mało tego typu programów. Szczerze mówiąc, w dzisiejszych czasach samo czytanie wiadomości w gazecie czasem przypomina true crime

rozrywka. A ja mam problem z tym, żeby bawić się prawdziwymi zbrodniami. Kiedy ktoś mówi mi: „Zbrodnie w pana książkach nigdy się nie zdarzają”, odpowiadam: „I bardzo się z tego cieszę”.

Jednak bez przemocy nie powstałby thriller.

Kiedy piszę, czasami wykorzystuję prawdziwe przestępstwa jako punkt wyjścia do zadawania pytań. Mogę na przykład pisać o przemoc domowej albo innych poważnych problemach i lękach, ale mam problem, kiedy wiem, że coś wydarzyło się dokładnie w taki sposób w rzeczywistości. Z drugiej strony muszę przyznać, że bywa to interesujące. Jednak kiedy oglądam dokumenty true crime, zawsze zadaję sobie pytanie: dlaczego to oglądam? Czy naprawdę potrzebuję tego do researchu? Dlatego oglądam bardzo mało tego typu programów. Oglądam sporo fikcyjnych kryminałów, ale niewiele prawdziwych historii kryminalnych. Szczerze mówiąc, w dzisiejszych czasach samo czytanie wiadomości w gazecie czasem przypomina true crime.

Wiele twoich historii rozgrywa się w Berlinie. Czy stolica Niemiec jest niebezpiecznym miastem, czy to po prostu dobre miejsce do osadzenia fikcyjnej akcji?

Statystycznie rzecz biorąc, może to być jedno z bardziej niebezpiecznych miast w Niemczech, obok Frankfurtu czy być może Hamburga. Berlin ma prawie

cztery miliony mieszkańców, a może nawet więcej. To miasto pełne kontrastów. W pewnym sensie jest to biedne miasto, w którym mieszka wielu bogatych ludzi. Są tam politycy. Mamy też wielu uchodźców, którzy potrzebują pomocy. Istnieją problemy społeczne, bezdomność i trudności finansowe, a to tworzy różne wyzwania. Są dzielnice, do których nie powinno się chodzić późno w nocy, zwłaszcza jeśli jest się kobietą. Tego bym nie polecał. Jednak osobiście nigdy nie byłem ofiarą przestępstwa, więc nie boję się tego miasta. Jeśli porównać to z innymi miejscami, ludzie opowiadają mi znacznie bardziej przerażające historie o miastach takich jak Kapsztad. Bardzo chciałbym odwiedzić to miasto, ale wszyscy mówią mi, że poziom przestępczości jest tam ekstremalnie wysoki. Podobnie było, gdy podróżowałem do Brazylii. Ostrzegano mnie, żebym nie nosił zegarka, bo ktoś mógłby odciąć rękę, żeby go ukraść, ale z mojego doświadczenia wynika, że jeśli unika się pewnych miejsc o określonych porach i zachowuje się rozsądnie, ryzyko zostania ofiarą w Berlinie nie jest większe niż w innych dużych miastach.

Poznań leży niedaleko Berlina. Odwiedziłeś nas już kiedyś?

Niestety nie. Byłem w Polsce dość często - w Krakowie i Warszawie - ale nie w Poznaniu.

Masz jakieś oczekiwania wobec naszego miasta w trakcie Poznańskich Targów Książki?

Szczerze mówiąc, nie zrobiłem zbyt dużego researchu, ponieważ jestem teraz w trakcie pracy nad książką. Kiedy piszę, koncentruję się wyłącznie na niej. Zwykle lubię dać się zaskoczyć, ale to, czego naprawdę oczekuję - i co jest dla mnie najważniejsze - to spotkanie z czytelnikami.

Czy rozwój AI może w przyszłości zagrozić pisarzom albo prawnikom? Wyobrażasz sobie korzystanie z AI przy pisaniu książek lub sprawdzaniu faktów?

Szczerze mówiąc, myślę, że w pewnym sensie od dawna korzystamy z czegoś podobnego. Na przykład każdy autor używa wyszukiwarek internetowych, takich jak Google. Programy do sprawdzania pisowni czy narzędzia do researchu to także pewna forma sztucznej inteligencji. Teraz to prostu stało się to bardziej zaawansowane. Uważam, że w porządku jest, jeśli AI działa w tle. Na przykład sprawdzając pisownię albo pomagając w researchu. Może to być bardzo przydatne narzędzie, ale fakty i tak trzeba sprawdzać samemu. Nie można w pełni na tym polegać. Czego natomiast nigdy bym nie zrobił, to użycie AI do generowania historii. Nawet jeśli kiedyś potrafiłaby pisać lepsze książki niż ludzie - co być może jest możliwe - i tak bym z niej nie korzystał.

Dlaczego?

Po prostu lubię pisać. Dlaczego miałbym prosić maszynę, żeby zrobiła coś, co sprawia mi przyjemność? To trochę jak z koncertem. Nigdy nie poprosiłbym kogoś, żeby poszedł za mnie na koncert Depeche Mode, a potem opowiedział mi, jak było. Chcę przeżyć to sam. Myślę też, że ludzie zawsze będą potrzebować ludzkich doświadczeń. Od chwili narodzin potrzebujemy wspólnoty. Mamy to w DNA. Ludzie chcą chodzić na koncerty i słuchać prawdziwych muzyków. Chcą czytać książki i czuć więź z autorem. Chcą oglądać filmy i wiedzieć, że stoi za nimi prawdziwy człowiek.

Może byłoby to ciekawe jako ciekawostka, ale ludzie wciąż wolą kontakt z prawdziwymi ludźmi i gwiazdami.

Widziałem to w tenisie, kiedy byłem młody. Boris Becker i Michael Stich byli świetnymi zawodnikami. Niektórzy mówili nawet, że Stich był technicznie lepszy. Ale Becker miał bardzo silną osobowość i to sprawiło, że stał się znacznie bardziej znany. Ludzie tak naprawdę nie chcą perfekcji. Podziwiamy perfekcję, ale to, czego naprawdę chcemy, to autentyczność. Dla nowych twórców może być trudniej, ponieważ na świecie pojawi się bardzo dużo sztucznie generowanych treści. Może być im trudniej się przebić. Dla już znanych artystów może to mieć nawet odwrotny

efekt: może zwiększyć zapotrzebowanie na prawdziwych, autentycznych twórców. Przyszłość pokaże, czy mam rację.

Każdy może zostać pisarzem?

Wierzę, że każdy ma historię do opowiedzenia. Każdy, kto potrafi pisać, może pisać i powinien zapisać swoją historię. Nie każdy będzie miał tyle szczęścia co ja i znajdzie czytelników, ale być może to wcale nie jest najważniejsze. Zawsze trzeba zacząć od własnej historii i pisać ją przede wszystkim dla siebie. Trzeba być pierwszym czytelnikiem własnej książki. Jeśli jesteś dumny z tego, co napisałeś, i sam to lubisz, istnieje duża szansa, że innym także się spodoba.

Jakaś porada dla tych, którzy boją się spróbować?

Moja rada jest prosta: pisanie jest jak pływanie. Można przeczytać wiele książek o pływaniu, chodzić na kursy albo rozmawiać z innymi pływakami, ale prędzej czy później trzeba wskoczyć do wody. Trzeba spróbować samemu. Na początku po prostu próbujesz utrzymać głowę nad wodą. Później możesz trenować więcej i możesz stać się lepszym pływakiem. Z pisaniem jest tak samo. Najpierw napisz swoją historię. Dopiero potem możesz zacząć uczyć się więcej o samym rzemiośle. Trzeba popełniać błędy: wszystkie możliwe błędy. Tylko dzięki nim można się rozwijać.

Masz rzeszę czytelników, ale może ktoś o tobie usłyszał po raz pierwszy. Którą książkę mu polecisz?

Jeśli ktoś nie zna jeszcze moich książek, może powinien zacząć od mojej pierwszej powieści, „Terapia”. To była książka, która uczyniła mnie pisarzem i zawsze będzie miała szczególne miejsce w moim sercu. W Niemczech właśnie świętujemy jej dwudziestolecie, a ludzie wciąż piszą do mnie, że bardzo ją lubią. Dlatego myślę, że zaczęcie od pierwszej książki to dobry pomysł.

CV

Sebastian Fitzek

Niemiecki autor bestsellerowych psychothrillerów. Karierę zawodową rozpoczął w radiu, później studiował prawo. Przez 6 lat był najlepiej sprzedającym się pisarzem w Niemczech. Autor ponad 20 powieści, publikowanych w 37 krajach. Sprzedaż jego książek przekroczyła już 20 milionów egzemplarzy.



Dla Daniela Pindelskiego Franciszek Dziobak był wujkiem. Mnóstwo czasu spędzał z małymi Pindelskimi, w zasadzie z nim się wychowywał. Nikt w Malawie w jego winę nie wierzył

Jeden z nich doczekał uniewinnienia po 4 latach w więzieniu. Drugi uniewinnienia nie doczekał: zmarł wkrótce, jak warunkowo opuścił więzienie. Obu skazano za pedofilię w „sprawie z Malawy”, obaj zostali tym wyrokiem, karą i więzieniem okaleczeni. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo

Andrzej Płes

DRAMAT NIEWINNYCH Z MALAWY. PRZEŻYLI KOSZMAR W WIĘZIENIU

Kiedy przyszli po Andrzeja Maternię, ten jeszcze neli cho miał w czubie i nawet nie zapytał, czemu za-wdzięcza tę niespo-dziewaną wizytę mundurowych. Może przeszedł na czerwonym przez ulicę w Malawie, może „pod wpływem” zgrzeszył czym, czego nie pamięta, więc wobec zaproszenia do radiowozu nie protestował i poszedł grzecznie. A w ogóle w czubie miał tak wysoko, że niewiele z tego incydentu pamięta.

- Powiedzieli, że jestem zatrzymany, i tyle - wspomina. - Nie powiedzieli za co, ja nie pytałem. Dopiero jak mnie dowieźli na miejsce, to widzę, że jeden kolega siedzi, Franciszek Dziobak siedzi, ale dalej nie wie-

działem, dlaczego. Dopiero jak mnie zawieźli do szpitala ZK na Kraków (areszt śledczy przy ul. Montelupich), to się ocknałem, bo chyba jakąś delirkę dostałem. Pamiętam, że mnie tam skopali, w pasy wpakowali, parę dni chodziłem o kuli.

Ze dwa tygodnie tam był - dziś już nie jest pewien, jak długo. Z pierwszej celi został mało uprzejmie wyproszony, bo lokatorzy dowiedzieli się, za co tam trafił.

- Jak tylko wszedłem, to kazali mi wyp... lać i szukać innej celi - wspomina.

Przyznaje, że cały czas był „zadżumiony”; o tym, że podobno gwałcił jakąś dziewczynkę, dowiedział się dopiero w prokuraturze. A może dopiero w sądzie? Dziś już nie jest pewien.

- W szoku byłem, jak do mnie dotarło, o co mnie obwiniają - przyznaje. - Ledwie kojarzyłem tę dziewczynkę z widzenia. Zresztą Franciszka Koszele, Grzegorza Dziobaka, Mariusza też ledwie z widzenia znałem, a mówili mi, że to razem z nimi gwałciłem. Jak usłyszałem wyrok, to myślałem tylko, żeby jak najszybciej się to skończyło, żeby stamtąd pójść, niech się dzieje, co chce, żeby tylko dali mi spokój, miałem dość tego wożenia do sądu. Przez ten pierwszy rok odsiadki w szoku byłem, jakbym nie wierzył, że to wszystko się dzieje naprawdę.

Szok nie minął, kiedy stanął przed Sądem Okręgowym w Rzeszowie. Niewiele pamięta z tego, co działo się na sali, może tyle, że „prokurator się mnie

czepiał, o coś pytał, sędzia raczej nie bardzo”. Wyrok też przyjął jakby psychicznie znieczulony, zobojętniały.

Jak już trafił pod celę w ZK Rzeszów, ni cholery nie przyznał się, za co tam trafił, ale „chyba niektóre te oddziałowe wiedzieli”. Towarzystwo za kratkami też wiedziało, ale nic mu nie zrobiło - zapewnia.

- Ja siedziałem z takimi „matulezami” - próbuje grypsować, określając w ten sposób więźniów z długimi wyrokami. - Sam, w pojedynkę nie chciałem siedzieć, wołałem z takimi, co mają wielkie wyroki. Dlaczego? Bo wiedziałem, że nic złego nie zrobiłem. I nic złego nie mogę na nich powiedzieć. Poza tym, że w Krakowie dostałem omłoty, to potem już nic takiego się nie zdarzyło.

A przecież musiał wiedzieć, że grypsa pedofilów nienawidzi bardziej niż glin, klawiszów i matkobójców. I przyznaje, że początkowo miał obawy, że do końca wyroku będą go traktować tak jak potraktowali w Krakowie. Albo jeszcze gorzej. A okazało się, że w rzeszowskim więzieniu trafił na „samyh swoich”, a w dodatku grypsujących nie umieszczają w tej samej celi, co skazanych za pedofilię.

- Towarzystwo w celi to byli chłopaki z okolic Malawy - tłumaczy. - Nawet jeden z oddziałowych to był mój znajomy. Tydzień, dwa, trzy chodziłem jakiś taki obłąkany, a potem jakoś już było. Im się przyznałem, co tu robię i za co, może któryś miał podejrzenia, że to wszystko prawda, ale żadnej bitki nie było.

Gorzej było, kiedy wychodził na spacerniak - to już nie sami swoi, od obcych kosę można było dostać za jego paragraf.

Ponad cztery lata spędził w kratami za coś, czego - uznał wreszcie sąd prawomocnie - nie zrobił. Mówi, że nie rozpamiętywał, nie pytał Boga i losu: za co i dlaczego, nie pielęgnował w sobie żalu do świata i nie wołał o sprawiedliwość. Po prostu przyjął, co los dał - co najwyżej nie wyzbył się liczenia czasu do końca odsiadki ośmioletniego wyroku.

- Żeby o tym wszystkim nie myśleć, poszedłem do wychowawcy, żeby dał mi jakieś zajęcie. Kazał mi sprzątać - opowiada. - Korytarz sprzątałem, u oddziałowych sprzątałem.

Z czasem atmosfera wokół niego zaczęła się zmieniać.



FOT. MARCIN ZMINKOWSKI

Daniel Pindelski do dziś w pamięci ma hejt, jaki wylał się w internecie po wyrokach skazujących mężczyzn z Malawy

Mówi, że w końcu nawet oddziałowi zaczęli mocno wątpić w jego winę, nawet policjanci, którzy go konwojowali, coś przebąkali, że jest niewinny i tylko „na Mariuszka najeżdżali” - mówi o bracie przyrodnim domniemanej ofiary. Jedy- nym w „sprawie z Malawy”, który nie został uniewinniony, bo nikt w jego imieniu nie złożył wniosku kasacyjnego do Sądu Najwyższego. I który dostał 15 lat więzienia za to samo, co czterech współoskarżonych, skazanych i uniewinnionych. I który wciąż siedzi.

- Ijadę w tej więźniarce, a policjanci mówią do mnie, że tak naprawdę to nic na mnie nie mają, nie ma po co do sądu jechać - opowiada Maternia. - To zaproponowałem, żeby mnie wysadzili na rondzie, pójde sobie do domu.

Chwile załamania

Mówi, że czasami jak leżał na koju pod celą, to zastanawiał się dlaczego leży tu, a nie w domu. Bo w domu jest mama, z którą mieszkał. Ona się nim opiekowała, jak już trafił za kraty, przysyłała pieniądze, żeby sobie kupić tabletki na nerwy, dzwoniła. Zmarła pół roku po tym, jak syn trafił do więzienia.

- Nerwy ją zjadły - nie bardzo chce o tym mówić, bo żałuje, że go przy niej nie było w ostatnich jej chwilach. Na pogrzeb nie chciał jechać, choć adwokat załatwił mu przepustkę. - Odmówiłem, wie pan, jakie są ludzie. Że zbrodniarz i pedofil przyje-

chał na pogrzeb - tłumaczy oględnie.

Miewał chwile załamania. Sam przyznaje, że raz się śmiał, a innym razem krzyczał na myśl o tym, jak to się stało, że trafił za kraty. A generalnie - starał się o tym nie myśleć.

- Myślałem tylko o tym, jak tam matula w domu się czuje i tyle - wspomina. - Dopóki nie przyszedł telegram, że mama zmarła. Wychowawca mnie zawołał, powiedział, trafiłem od razu do psychologa i psychiatry.

Dwóch szwagrów mu zmarło, kiedy siedział, ale to nie to samo, co stracić matkę. Nic dobrego z tej odsiadki nie wyszło, albo prawie nic, bo prawie cztery lata był na odwyku po latach alkoholowego mirażu. Teraz - przyznaje - jest szansa na nowe życie, pracę ma nagraną, tylko matki już nie ma. Adwokat go namówił, żeby złożył do sądu wniosek o odszkodowanie za te cztery stracone lata, za cierpienia, za strach. Bo może prokuratura i sądy się pomyliły, ale to on poniósł konsekwencje cudzych błędów i nie można udawać, że „nic się nie stało, chłopaki, nic się nie stało”.

To nie był słowotok pana Andrzeja - słowa trzeba było z niego wycisnąć i trudno oprzeć się wrażeniu, że nie o wszystkim chciał mówić i nie wszystko powiedział.

Powrót z piekła

Dla Daniela Pindelskiego Franciszek Dziobak był wuj-

kiem. Takim „przyszywanym wujkiem”, bo był bratem teścia. W Malawie mieszkali od siebie dwieście metrów, a wujek był u Pindelskich stałym gościem i nawet dla ich dzieci był wujkiem - tak go nazywały. Normalnie członek rodziny, dzień w dzień tu bywał, mnóstwo czasu spędzał z małymi Pindelskimi, w zasadzie z nim się wychowywały. Kiedy poszło w świat, że Franciszek został oskarżony o pedofilię, w Malawie nikt w jego winę nie wierzył. A znali go tu. U kogoś skoślił trawnik, u innego przyciął krzaki, jeszcze u innego pomógł przy budowie albo w drobnych pracach polowych. Nikomu by do głowy nie przyszło, że może mieć jakieś nie-

przychylnie inklinacje wobec dzieci. Jak Franciszek i czworo innych trafiło pod zarzutami pedofilii do aresztu tymczasowego, jak potem sprawa trafiła do sądu, ludzie z Malawy organizowali pod rzeszowskim sądem pikietę w obronie ziomali.

Kiedy wyszedł z więzienia decyzją Sądu Najwyższego, był zupełnie innym człowiekiem. Nie bardzo wiadomo, kim był, on sam też chyba nie. Pindelscy go przygarnęli, bo sam na wolności by sobie nie poradził. Zresztą oni też z trudem sobie z nim radzili, bo część tego więziennego piekła przywlokło się z nim na wolność.

- Przez pierwszych kilka miesięcy w ogóle nie wiedział, za co trafił do więzienia. Albo nikt mu nie powiedział, albo do niego nie dotarło - przekonuje pan Daniel. - Niewiele mówił, co przez te ponad pięć lat się z nim działo, co przeżył, nie chciał o tym mówić. Nawet o tym, jak został zatrzy-

many. Podczas odwiedzin w ZK Franciszek zwierzył się, że w więzieniu został pobity, że bra mu połamano, wyładował w szpitalu w Leżajsku.

- Wydawało się, że Franek wyjdzie, pójdzie do swojej siostry Staszki na parę dni, my mu w tym czasie chałupę wyremontujemy i zamieszka u siebie jak niegdyś - opowiada pan Daniel. - Do Staszki rzeczywiście trafił. I wtedy wszystko w nim puściło, lało się z niego górą i dołem. Ciotka koło osiemdziesiątki nie była w stanie się nim zająć, a ktoś musiał. I trafił do nas.

Bo pamiętali, jak wcześniej bawił się z ich dziećmi, jak się z nimi śmiał, a kiedy dostał parę złotych, to zakupy zaczynał od tabliczek czekolad dla dzieci, dla niego niewiele zostawało.

- Dusza człowiek był. Kiedyś wpadł po pięć złotych na piwo. Kiedy mu proponowałem, żeby najpierw ukosił trawy dla drobiu, to mówił z udawanym oburzeniem, że nie po to tyle czasu strajkował za Solidarność, żeby teraz w sobotę zap...lać - cytował wujka Franka.

I w ogóle to był delikatny gość.

Katastrofa

Franciszek taki był przed więzieniem, po nim już tylko koszmar. Na nagraniach widać, jak tarza się po żwirowanej ścieżce pod domem Pindelskich, ni to rycząc przeraźliwie, ni to szlochając, i zasłaniając sobie krocz. Jakies słowa przez ten ryk przebijają, ale kompletnie niezrozumiałe. Psycholog by powiedział, że to nieprzypadkowe gesty, że to odruch obronny. Po czym? I co takiego zdarzyło się w więzieniu? Pan Daniel urządził mu miejsce w domku tuż obok ich domu głównego; często w nocy budził ich przeraźliwym krzykiem strachu i rozpacz. Musiał mieszkać w tym domku, bo w domu Franciszek zgotował im horror. Przeprowadzka niewiele zmieniła - przy każdym nocnym ataku i tak biegli do wujka Franka. Do rana spania już nie było.

- Na co dzień był jakby nieobecny, jakby świat wokół niego przestał istnieć albo on go nie zauważał - opowiada pan Daniel. - Tylko jego ciało z nami było, dusza gdzieś się błąkała. Nie jadł po trzy dni, cuda robiliśmy, żeby coś przełknął. Zagadnąć, nie odpowiadał, z rzadka miewał przebliski świadomości, raz nawet podziękował, że pozwoliliśmy mu u nas zostać. Bardzo rzadkie przebliski, codzienność była koszmarem. Wyjechać na dłużej się nie da, samego go nie zo-

stawimy. Fizycznie w stanie nie lepszym: nogi zgniły, zmienia się opatrunek, a duży palec u stopy odpada. Stopy cukrzycowej. Byliśmy z nim u lekarza, ten się zastanawiał, na jakiej wysokości trzeba będzie amputować. Podobno w więzieniu prawie się nie ruszał, na spacerki nie wychodził ze strachu. Chyba nigdy już się nie dowiemy, co mu tam zrobili, że tak się bał - opowiada Daniel Pindelski.

Dodaje, że od ponad dwóch dekad pracuje w straży pożarnej i chyba wszystko już widział, każdy rodzaj ludzkiej tragedii, ale półtora roku z wujkiem Frankiem po więzieniu rozwały go kompletnie. Nie wytrzymali gehenny - ktoś podpowiedział, żeby wujka Franka ubezwłasnowolnić sądownie i oddać do jakiegoś zakładu opiekuńczego.

- Pojechaliśmy do sądu na orzeczenie, sąd zdecydował o ubezwłasnowolnieniu i mogliśmy odzyskać spokój - opowiada pan Daniel. - A kiedy z żoną wyszliśmy z sądu, oboje uznaliśmy, że nie możemy tego Frankowi zrobić, że dość już przeszedł. I Franek został z nami do końca.

Do dziś w pamięci ma hejt, jaki wylał się w internecie po wyrokach skazujących, treść publikacji mediów w całej Polsce, które uczestników „sprawy z Malawy” okrzyknęły pedofilami, nim jeszcze zapadły wyroki.

- Mnie też się dostało, kiedy pod jednym z takich komentarzy napisałem, żeby autor przyjechał do Malawy, porozmawiał z ludźmi, dowiedział się czegoś więcej na temat oskarżonych - opowiada Pindelski. - Ktoś odpowiedział, że bronię pedofilów, bo moje dzieci też były przez nich gwałcone.

Franciszek zmarł, ale nie bardzo wiadomo, jaka była przyczyna śmierci. Po wyjściu z więzienia cały się sypał: od palca stopy do czubek głowy, w której hulały demony. Zmarł, nie otrzymawszy satysfakcji jak inni oskarżeni, skazani, w końcu prawomocnie uniewinnieni. A gdyby nawet na sali sądowej usłyszał, że jest niewinny, to wątpliwe, by to do niego dotarło, bo ducha i świadomości w nim już nie było.

- Nie żyje, ale w świetle prawa wciąż jest pedofilem - mówi z gniewem pan Daniel. - Nie dożył wyroku uniewinniającego, jego wątek w tej sprawie umorzono ze względu na śmierć pod sądne.

Nie żyje i wreszcie ma spokój, ale w Pindelskich wciąż siedzi te półtora roku z wujkiem Frankiem. Półtora roku koszmaru, który i tak było niczym w porównaniu do horroru, jaki on przeżył i o którym tylko on wie, ale już nie powie. Za kraty na prawie pięć lat szedł pogodny, życzliwy, pełen poczucia humoru człowiek - wyszło półprzytomne, ryczące strachem zombie. ©©



FOT. MARCIN ZMINKOWSKI

Andrzej Maternia: Jak leżał na koju pod celą, to zastanawiał się, dlaczego leży tu, a nie w domu, gdzie jest jego mama

Zosia poleci po życie do USA

Tylko rodzic, który musi uzbierać astronomiczną kwotę na ratowanie życia dziecka, jest w stanie w pełni zrozumieć tę sytuację. Po kilku miesiącach odetchnąć mogą rodzice Zosi z Malborka. Jest nadzieja, bo jest ponad 4 mln zł

Radosław Konczyński

Zosia była królową tego balu. Nie tylko dlatego, że jej był dedykowany. Tańczyła na scenie wokół Cezarego Pazury, wystąpiła z Igorem Herbutem z zespołu LemON, mogła dotykać brody Vikinga Sławka z Fundacji Viking Story z Białegostoku, choć ponoć nikomu na to nie pozwala. Nie można powiedzieć, że skradła show, bo niczego kraść nie musiała, ale na pewno ta 8-letnia dziewczynka z Malborka walcząca o życie (takiej walki nie powstydziliby się prawdziwy wiking) - podbiła serca ponad 400 osób, które wzięły udział w charytatywnej imprezie w Stodole Howieńskiej w Pomigaczach koło Białegostoku. Ba, podbiła ich tysiące w całej Polsce (i pewnie nie tylko), bo na zbiórce na platformie Siepomaga.pl przez kilka miesięcy zameldowało się ponad 80 tysięcy osób.

„I okazało się, że to jest ten złośliwy nowotwór”

Kim jest Zosia? Jedną z trojaczek, obok Kasi i Marysi. Choruje na hepatoblastomę IV stopnia, czyli agresywny nowotwór złośliwy wątroby w najpoważniejszym stadium. W Polsce, a nawet w Europie możliwości leczenia się skończyły. Także dlatego, że niewiele jest takich - brzydkie słowo - przypadków. Cała nadzieja w klinice w Houston w USA, gdzie stosowana jest nowoczesna terapia CAR-T Cell - innowacyjna metoda immunoterapii. Koszt leczenia wraz z transportem medycznym i rehabilitacją to około milion dolarów.

Zosia od ponad pięciu lat walczy z chorobą. Na filmie przygotowanym przez Fundację Viking Story rodzice przypominają, jak doszło do diagnozy.

- Ze względu na skrajne wcześniactwo naszych córek chodziliśmy często do lekarzy. U maluszków to były szczepienia, bilanse i kontrole, i żaden z lekarzy nie sygnalizował, żeby coś się działo nieprawidłowo. Ani zachowanie Zosi, ani jakieś dolegliwości nie wskazywały, że dzieje się coś tak bardzo złego. Zosia po karmieniu

mleczkiem skarżyła się na ból brzuszka, który potem mijał i nie potrzebowała leków przeciwbólowych, bo wszystko wracało do normy - opowiada Anna Lewandowska.

Któregoś wieczoru mama zauważyła twarde wybrzuszenie po prawej stronie.

- No i okazało się, że to jest właśnie ten złośliwy nowotwór wątroby. Jak już to zaobserwowaliśmy, to w przeciągu 24 godzin byliśmy w szpitalu pod kontrolą onkologów. Wszystko bardzo szybko się potoczyło. Ale wtedy stan Zosi był już bardzo zaawansowany, nowotwór z przerzutem do płuc, czyli już z czwartym stopniem. Do dzisiaj zastanawiamy się, czy mogliśmy w jakiś sposób wcześniej zareagować... Po operacji potem ciągle kontrole i dzięki tym kontrolom dało się znowu, ale już szybciej wyłapać, że mamy do czynienia z tym samym. Okazało się, że Zosia ma liczne przerzuty do płuca lewego, prawego, nieoperacyjne. Została nam chemia - wspomina mama.

W międzyczasie dziewczynka normalnie rozpoczęła naukę w podstawówce Zespołu Szkół Katolickich w Malborku, od blisko dwóch lat łącząc naukę z pobytami w szpitalu i wizytami u lekarzy. Do „katolika” chodzą też jej siostry, a mama jest nauczycielką.

- Te trzy dziewczynki: Zosia, Kasia i Marysia dzień w dzień przychodzą do nas rano do gabinetu. Przytulają się do pani dyrektor, do mnie, do pani w sekretariacie. Po lekcjach znowu tupają te trzy dziewczynki i podchodzą do każdego z nas, i się przytulają. I tak do każdego nauczyciela, do każdego pracownika - opowiadał Wojciech Handke, dyrektor ZSK, podczas koncertu charytatywnego zorganizowanego przez szkołę w grudniu ub. roku.

Różnego rodzaju akcje dla Zosi trwały od listopada, gdy okazało się, że w Polsce nie ma już ratunku. Andrzej Lewandowski, tata dziewczynki, przyznaje, że po raz pierwszy mocniej uwierzył, gdy dla jego córki Andrzej Potoczek, biegacz



Zosia Lewandowska z Vikingiem Sławkiem z Fundacji Viking Story

z Lichnów, pod koniec listopada, ale już w zimowych warunkach pokonał dystans 225 km na bulwarze nad Nogatem w Malborku. Biegł non stop przez 29 godzin. Tata Zosi też się przyłączył na trochę; zresztą, angażował się, gdzie tylko mógł. Jak trzeba było - biegł; jak trzeba - morsował, innym razem - grał w piłkę, przyznając, że to nie jest jego najsilniejsza strona.

Mała, silna dziewczynka

W połowie lutego br. udało się uzbierać bardzo dużo, bo kwota powoli zbliżała się do 3 mln zł, ale jednocześnie bardzo dużo brakowało do ponad 4 mln zł. Na szczęście, starania rodziców, by wypłynąć na szersze wody pomagania wreszcie się powiodły. W pomoc zaangażowała się wspomniana Fundacja Viking Story, która obiecała zorganizować Bal Charytatywny „Drzewo Życia”. To była cała strategia, w którą zostali przez nią włączeni ludzie

z wielkimi zasięgami w internecie. Najpierw bal i zbiórkę na rzecz dziewczynki z Malborka promował poseł i społecznik Łukasz Litewka z Sosnowca (prawie 800 tys. obserwatorów na Facebooku) i na około tydzień przed wydarzeniem cyfry na zbiórce „oszałały”. Gdy jeszcze brakowało - do akcji wszedł Dawid Tekiel, prowadzący profil „Wiedza beużyteczna” na Facebooku (ponad 1,7 mln zł obserwatorów). Ponownie nastąpił znaczny przyrost wpłat. Kulminacją był, zorganizowany przed tygodniem bal, transmitowany przez Kanał Zero Krzysztofa Stanowskiego i podczas tej transmisji udało się osiągnąć zakładaną kwotę.

- Zosia zaraża swoim uśmiechem i energią. Ta dziewczynka nas po prostu w sobie rozkochala - mówiła podczas balu Kamila Dawidzka, prezes Fundacji Viking Story.

Wieczór poprowadzili Cezary Pazura i Klaudia Halejcio. Na scenie pojawili się m.in.

wspomniany LemON z Igorem Herbutem, z którym w pewnym momencie Zosia śpiewała i Ania Dąbrowska.

- Widząc tutaj tyle ludzi i tak wiele znanych osób zaangażowanych w pomoc, serce naprawdę rośnie. Jestem po prostu speszona i brakuje mi słów, gdy widzę wszystkie te osoby, które zdecydowały się wesprzeć Zosię. To niesamowite, że to wszystko jest dla mojego dziecka - przyznała ze wzruszeniem Anna Lewandowska. - Zosia ma bardzo silny charakter. Myślę, że jest silniejsza ode mnie. Jest uparta i nie poddaje się. Nie skarży się na trudy leczenia ani na to wszystko, co ją spotykało przez ostatnie lata. Ona po prostu idzie do przodu. Ma swoje marzenia i bardzo się ich trzyma. Tak naprawdę jest takim motorem dla wszystkich wokół.

Cudem jest samo pomaganie

Bal oraz zaangażowanie znanych postaci świata inter-

netu, dające duży przyrost wpłat na zasadzie „kuli śnieżnej”, był niezwykle ważny, ale trzeba oczywiście pamiętać o wszystkich tych, którzy wcześniej przez kilka miesięcy wpłacali pieniądze na Siepomaga.pl, organizowali małe i duże wydarzenia charytatywne w Malborku i okolicach. Swego rodzaju fenomenem była m.in. społeczność internetowa, która powstała wokół grupy „Miliony serc dla Zosi Lewandowskiej - licytacji” na Facebooku.

- To, co wydawało się niemożliwe, stało się cudem. Kwota, która była dla rodziny nieosiągalna, dziś jest już tylko wspomnieniem strachu. A w jej miejscu jest ulga, wzruszenie i ogromna wdzięczność. Dziękuję za każdą licytację. Za każdy komentarz. Za każde udostępnienie. Za każdą wiadomość. Za dobre słowo, gest wsparcia. Każdy z Was dołożył swoją cegiełkę do tego cudu. Pokazaliście, jak ogromną siłę ma wspólnota. Jak można się zjednoczyć dla jednej małej dziewczynki i zrobić coś wielkiego - napisała do uczestników grupy jej administratorka, Patrycja Halik.

Dla rodziny Zosi kończy się etap wielkiej niepewności, który trwał ponad pięć lat.

- Brakuje nam słów, by wyrazić naszą wdzięczność. Gdy rozpoczynaliśmy zbiórkę, byliśmy przerażeni. Kwota do zebrania wydawała się wręcz kosmiczna. Nie mieliśmy jednak wyboru, to leczenie jest dla Zosi ostatnią szansą, by zakończyć jej wieloletnią walkę z nowotworem. Dziś nie możemy powstrzymać też wzruszenia. To niesamowite, ile dobra nas spotkało. Dziękujemy każdej osobie, która przyczyniła się do tego, że pasek zbiórki zazielenił się nadzieją na życie dla naszej córeczki. Nigdy nie zapomnimy tego, co dla nas zrobiliście - przekazali rodzice poprzez Siepomaga.pl.

Największym marzeniem Zosi jest być zdrową, a kiedy dorośnie, chce zostać lekarką.

- Żeby nikt nie był zawiedziony, że jest chory - mówi 8-latką.

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Brazylia, dyktatura, śmierć

26 marca do kin wtargnie „Tajny agent”. Koprodukcję Brazylii, Francji, Niemiec i Holandii wyreżyserował Kleber Mendonça Filho. Mamy lata 70., Brazylia trwa w żelaznym uścisku wojskowej dyktatury. Wybitny naukowiec Marcelo (Wagner Moura) powraca do rodzinnego Recife, żeby zabrać swojego syna w bezpieczne miejsce...

ZA TYDZIEŃ

SB na tropie kontestatorów i nonkonformistów

Bitnicy, gitowcy, szalikowcy. Skinheadzi i poppersi. Hipisi, punki, metalowcy. W PRL-u subkultury młodzieżowe były solą w oku ówczesnej władzy.



FOT. CC

Słynny myśliwiec Jan Zumbach w roli najemnika w Biafrze

W. Rodak, S. Majerowski
redakcja@polskatimes.pl

Spośród wszystkich pilotów Dywizjonu 303 to właśnie Janowi Zumbachowi najtrudniej było się rozstać z wojenną bojową adrenaliną. Po wojnie działał jako najemnik i przemytnik.

Zumbach do historii przeszedł głównie jako as myśliwski słynnego Dywizjonu 303. Walczył w bitwie o Anglię, brał udział w nalotach na pozycje niemieckie we Francji i szkolił młodych pilotów. Zestrzelił, wedle danych zebranych przez tzw. komisję Bajana, 14 niemieckich samolotów. Za swoje zasługi otrzymał order Virtuti Militari, Krzyż Walecznych (aż czterokrotnie!), a także brytyjski Distinguished Flying Cross. Wojnę zakończył w randze podpułkownika.

Uzależniony od ryzyka

Złożył więc wniosek o paszport w konsulacie Szwajcarii – miał do tego prawo, gdyż jego dziadek przybył do Polski właśnie z Helwecji – i w niedługim czasie opuścił Wyspy. Tak właśnie rozpoczął nową, pełną tajemnic i szmeranych interesów karierę pilota awanturnika.

Powojenna prosperita i towarzyszący odbudowie zrujnowanej wojną Europy chaos stwarzały spore pole do popisu dla wszelkiej maści kombinatorów.

W Szwajcarii, gdzie osiadł, odnowił swoje rozliczne wojenne znajomości. Przyjmował różne propozycje, kuszone sporymi zyskami i towarzyszącym ich zdobywaniu ryzykiem, od którego był uzależniony.

Wyrwany z odrętwienia

Swoimi samolotami woził turystów do śródziemnomorskich kurortów, przemycał papierosy i złoto, przerywał podejrzanych osobników przez granicę (m.in. izraelskich działaczy niepodległościowych). Jednak żaden z tych niebezpiecznych procederów nie dał mu fortuny. Sfrustrowany tym faktem w 1954 r. przyjął posadę... dyrektora fabryki ręczników we francuskim



FOT. CC

Jan Zumbach zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach 3 stycznia 1986 r. we Francji. Został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach

Chartres, której właścicielem był jego znajomy. Po roku przeniósł się do Paryża, gdzie prowadził wraz ze współnikami kluby nocne. Potem, w ósmej dzielnicy, założył własną restaurację. „Coraz bardziej tyłem. Zanurzałem się w noc, muzykę pop i strumienie whisky” – opisywał Zumbach. Wtem, w grudniu 1961 roku, zadzwonił telefon, który wyrwał go z hedonistycznego odrętwienia.

„Nasz wspólny przyjaciel Pierre Follorey powiedział mi, że nadal nie stracił pan zamiłowania do przygód i nie miał by pania przeciw temu, żeby wziąć znów za pracę latać. Czy to prawda?” – pytał głos w słuchawce. Zumbach potwierdził bez wahania. Potem sprawy potoczyły się szybko. Tajemniczy pośrednik skojarzył go z Moisésem Czombem, przywódcą Katangi – bogatej w surowce prowincji, która chciała oddzielić się od nowo powstałej Demokratycznej Republiki Konga. Ten zaproponował mu lukratywny kontrakt najemnika i utworzenie katangijskich sił powietrznych.

Zwykła banda pijaków

Zumbach starał się wywiązać ze swoich zobowiązań jak najle-

piej. Zorganizował transport samolotów z Europy do Katangi. Przeprowadził rekrutację pilotów i mechaników (wśród których byli dwaj Polacy: Wanowski i Bucik). Przygotował sieć lądowisk w dżungli. Był tak zdeterminowany, by powiększyć swoją flotę powietrzną, że wydebił nawet od Czombego jego samolot DC-3 wyposażony w luksusowe meble i dywany, by przerobić go na wojskowy transportowiec.

Jednak cały jego wysiłek poszedł na marne. Przede wszystkim dlatego, że katangijscy dowódcy byli niekompetentni. Głównodowodzący armią, generał Muke, był analfabetą, dlatego nie wiedział też, jak korzystać z map. Poza tym katangijska armia nie była zbyt groźną siłą. Zumbach opisywał ją jako bandę rzezimieszków i pijaków. Jej jedynym mocnym punktem byli nieliczni biali najemnicy, wśród nich Polacy (m.in. Rafał Gan-Ganowicz).

Lecąc do Biafry

Wreszcie, od jesieni 1962 r., sprzymierzone siły Konga i ONZ uzyskały przewagę w powietrzu. Nad Katangą zaczęły latać szwedzkie SAAB-y, w starciu

z którymi samoloty Zumbacha nie miały żadnych szans. W 1967 roku spotkał starego znajomego, który poprosił go o pośrednictwo w kupnie bombowca. Zumbach załatwił mu wysłużony B-26.

Pieniądze przeszły z rąk do rąk, jednak po niedługim czasie jego kolega zjawił się u niego znów, w towarzystwie tajemniczego czarnoskórego jegomościa. Spytał Zumbacha, czy nie zechciałby za odpowiednią opłatą zaprowadzić samolotu do miejsca przeznaczenia. Zumbach przyjął ofertę bez wahania.

Cała operacja przebiegała w możliwie jak najgłębszej konspiracji. Belgijski pilot przeprowadził maszynę z Paryża do Lizbony. Tam już czekała na nią Zumbach. Wtedy znów pojawił się ów tajemniczy ciemnoskóry dżentelmen, który wyjawiał mu wreszcie cel lotu. Oficjalnie Polak miał przeprowadzić B-26 do Gabonu, jednak w czasie lotu miał zgłosić awarię i konieczność awaryjnego lądowania w Port Harcourt na terenie Biafry – walczącej o niepodległość południowej części Nigerii.

26 czerwca 1967 r. Zumbach wystartował ze stolicy Portugalii. Wykonał dokładnie instruk-

cje czarnoskórego jegomościa i bezpiecznie wylądował w Biafrze.

Wielkie morderowanie

Nigeria odzyskała niepodległość w 1960 r. na fali dekolonizacji. W wytyczonych przez Brytyjczyków granicach zamknięto ponad 250 grup etnicznych, z czego trzy – Hausa, Joruba i Ibo – były najliczniejsze. Hausa, muzułmanie, dominowali na północy kraju. Jorubowie wyznający islam, chrześcijaństwo i animizm przeważali na południowym zachodzie kraju, w tym w Lagos. Ibo, którzy zamieszkiwali południowy wschód kraju, wyznawali chrześcijaństwo.

W 1966 roku kilku oficerów z ludu Ibo przeprowadziło zamach stanu. Zamordowali paru ważnych polityków pochodzących z północy i zachodu kraju. Parę miesięcy później miał miejsce kontrapuc, tym razem pod przywództwem gen. Yakubu Gowona. Na północy Nigerii wymordowano przeszło 30 tys. Ibo.

Oto „John Brown”

W obliczu tych zdarzeń płk Odumegwu Ojukwu – gubernator wojskowy tego regionu z ludu Ibo – ogłosił w maju 1967 r. powstanie Republiki Biafry. Liczył na to, że za pieniądze pochodzące ze sprzedaży ropy z obszaru delty Nigru będzie mógł prowadzić wojnę. Nie wiedział jeszcze, jak bardzo się pomylił.

Gdy koła samolotu Zumbacha dotknęły pasa lotniska w Port Harcourt, nigeryjska armia rozpoczęła ofensywę. Ojukwu miał nóż na gardle, jednak jego przeciwnicy mieli słabą stronę – nie posiadali ani jednego samolotu. Dlatego też umiejętności „Johna Browna”, bo pod takim pseudonimem Zumbach pracował, były mu niezbędne. Do przyjęcia stanowiska szefa białafrańskich sił powietrznych skłoniła Polaka kwota 4 tys. dolarów miesięcznie płatna z góry, którą mu zaproponowano.

„Wybuchowe rondle”

Zumbach z miejsca zabrał się do pracy. Kazał pomalować B-26 w maskujące barwy, a na jego dziobie wymalować pysk rekina.

Zainstalowano karabiny maszynowe. Zamiast bomb, których nie można było kupić, trzeba było zabrać na pokład „wybuchowe rondle” autorstwa miejscowego pirotechnika. Wyrzucano je przez drzwi komory bombowej, jak w czasie I wojny.

Mimo słabego uzbrojenia „latające straszdyło”, jak Zumbach zwał ów B-26, i pozostałe jednostki miały na swoim koncie kilka sukcesów. Najbardziej spektakularnym było zbombardowanie lotniska w Makurdi, gdzie zniszczono kilka samolotów transportowych i zestrzelono śmigłowiec z grupą wysokich rangą oficerów nigeryjskiej armii. Po tej akcji „Kamikaze Brown”, jak nazwano w Biafrze polskiego pilota, stał się bohaterem. O jego wyczynie pisał nawet „Sunday Times”, a kobiety zasypywały go propozycjami matrymonialnymi.

Koniec przygody

Po czterech miesiącach służby Zumbach zdecydował się opuścić Biafrę. Mimo tego, że wykonywał wiele lotów bojowych, ich rezultaty były śmieszne. Bycie „upierdliwym komar” nużyło go i wyczerpało psychicznie. W dodatku wiedział, że ta sytuacja raczej nie ulegnie poprawie.

Na jego oczach przedstawiciele Ojukwu w Europie, najczęściej synowie wodzów Ibo, defraudowali potężne środki powierzone im na zakup broni, fundując sobie drogie auta i prowadząc wystawne życie. Poza tym, co najważniejsze, mocarstwa odwróciły się plecami do Biafry, np. Wielka Brytania silnie wspierała Nigerię. Historia pokazała, że miał rację. Biafra skapitulowała w 1970 roku. W wyniku działań wojennych zginęło około miliona ludzi.

Okazało się, że była to ostatnia wielka, stricte wojenna wyprawa Zumbacha. Po niej, jak pisał w 1972 r., nabrał przekonania, że „przygody lepiej jest opowiadać niż kontynuować”. Jak pokazują jego późniejsze losy oraz mroczne okoliczności śmierci, mieszczańska idylla nie uwiodła go na długo. Nie umiał żyć bez ryzyka.

My, Polacy, lubimy deprecjonować własne sukcesy

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Rozmawiamy z Grzegorzem Kapicą, mistrzem Polski z Lechem Poznań (1984) i Ruchem Chorzów (1989). Król strzelców ekstraklasy w Szombierkach Bytom (1982) ocenia występ polskich drużyn w Lidze Konferencji.

Byli król strzelców naszej najwyższej ligi aktualnie pracuje w Grunwaldzie Ruda Śląska, gdzie prowadzi A-klasowy zespół seniorów.

Zaskoczyła Pana porażka Lecha z Szachtarem aż 1:3?
Brazylijczycy zrobili różnicę, wygrała jakość Szachtara. Na pewno liczyliśmy na lepszy wynik, Lech przed rewanżem w Krakowie znajduje się w bardzo trudnym położeniu, ale w piłce – do kiedy jest szansa – nie wolno się poddawać. Raków też przegrał we Florencji, co prawda 1:2, ale włoski zespół umie grać na wyjazdach, ma klasowych piłkarzy. Wierzę, że zespół z Częstochowy jest w stanie pokusić się o odrobienie strat, tak jak to uczyniła Ja-

giellonia z Fiorentiną na wyjeździe, ale w ogólnym rozrachunku strzelił o jednego gola więcej. Jak widać, Liga Konferencji, którą niektórzy u nas nazywali Pucharem Biedronki, to nie takie słabe rozgrywki. W poprzednim sezonie Legia i Jagiellonia dotarły w nich do ćwierćfinałów, ale u nas oczywiście to umniejszono. My, Polacy, lubimy deprecjonować własne sukcesy, a przecież na każde zwycięstwo trzeba solidnie zapracować. W innych krajach też potrafia grać w piłkę i wychodzą na boisko, aby wygrywać i zarabiać.

Lech nie ma za słabej obrony?
Mogę to oceniać z perspektywy kibica, nie je dobieram piłkarzy do składu. Nie da się jednak ukryć, że Lech traci za dużo goli i ma problemy także w ekstraklasie, a już odpadł z Pucharu Polski. Rywal w 1/8 finału, Szachtar, ze znakomitymi Brazylijczykami, to drużyna ograna w Europie, poważny kandydat do triumfu w Lidze Konferencji. Na rewanż „Kolejorz” powinien wyjść, żeby pokazać się z jak najlepszej strony i próbować – można wiele zyskać.



– Brazylijczycy zrobili różnicę, wygrała jakość Szachtara. Lech znajduje się w trudnym położeniu – ocenia Kapica

Oceniając po pucharowych występach, można uznać, że ekstraklasa się rozwija?
Wiem, że oczekiwania były u nas po eliminacjach europejskich pucharów ogromne, ale w piłce nożnej na poziomie międzynarodowym nic łatwo nie przychodzi. Ekstraklasa najpierw rozwinęła się pięknie w telewizji, potem pojawiły się piękne stadiony, jest wielkie zainteresowanie kibiców. Po ubiegłym sezonie, gdy Legia i Jagiellonia dotarły do ćwierćfina-

łów Ligi Konferencji, wydawało nam się, że przyjdą jeszcze większe sukcesy. Spokojnie, pamiętajmy też, że potrafimy wypromować zdolną młodzież, choćby Oskara Pietuszewskiego, który dziś bryluje w FC Porto, czy Bartosza Mazurka, bohatera „Jagi” we Florencji. Nadal nasi przedstawiciele są w grze w Europie, a liga nadal będzie się rozwijać, ale musimy być cierpliwi. Trzeba wyciągać wnioski z błędów, poprawiać i po prostu wychodzić

na boisko, aby grać jak najlepiej, z wiarą w sukces. Konsekwencja też przynosi rezultaty, co widać na przykładzie Bodo Glimt, norweskiej rewelacji Ligi Mistrzów 2025/26. Jeszcze nie tak dawno ten zespół przegrywał z polskimi w Lidze Konferencji. To daje wiele do myślenia.

Pan poznał smak pucharów, gdy jeszcze nie były rozbudowane, bez faz grupowych, ligowych. Nie żałuje Pan, że nie obowiązywały obecne zasady?
Nie mogę narzekać, że urodziłem się wtedy, w takiej rodzinie, w takim kraju. Nie żałuję tego, co przeżyłem, nie mogę narzekać na swoją przygodę z piłką w roli zawodnika. Zdobywałem trofea, grałem w europejskich pucharach przeciw takim potentatom, jak Feyenoord czy Athletic Bilbao, ocierałem się o pierwszą reprezentację Polski, choć nie dane było mi w niej zadebiutować. Tak się potoczyły moje losy i staram się też nikomu nie zazdrościć. Jak komuś polskiego zawodnikowi wychodzi za granicą, cieszę się z tego. Nam trochę brakuje takiego pozytywnego myślenia, wspierania swoich. Nie

można tylko się krytykować, kłócić, narzekać.

To, że ekstraklasa jest tak wyrównana, to dobrze?
Brakuje w niej dwóch, trzech dominujących klubów, a to na pewno na dobre wyszłoby polskiej piłce. Może to jest taki czas przejściowy w drodze, którą wybraliśmy, i widać postęp, który w dalszej perspektywie powinien być wyraźniejszy. Futbol może być piękny, co pokazuje historia Bodo Glimt, pogromcy Manchesteru City, Atletico Madryt, Interu Mediolan, Sportingu Lizbona. Skoro Norwegowie mają swoją drużynę w Lidze Mistrzów i są tam blisko ćwierćfinału, to my możemy też, ale nasze czołowe zespoły muszą mieć w składach jeszcze więcej jakości.

Panu daje przyjemność praca trenerska w klasie A?
Gdybym tego nie lubił, to bym się tym nie zajmował. Trzeba się mierzyć z różnymi problemami, ale widząc zadowolenie podopiecznych, uważam, że warto. W klasie A piłka nożna też ma swój urok, tu też pojawiają się talenty. ©©

Podział punktów w meczu drużyn Zielińskiego i Zalewskiego, a Milik na ławce

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Manchester City, Bayern Monachium i Inter Mediolan straciły punkty, a Arsenal Londyn, Real Madryt, Napoli i Juventus Turyn odnieśli zwycięstwa.

ANGLIA

Manchester City zaliczył wpadkę w wyjazdowym meczu z broniącym się przed spadkiem West Hamem United (1:1), gubiąc 2 punkty w Londynie. „Obywatele” wciąż jednak zajmują drugie miejsce w tabeli Premier League, ale ich strata do prowadzącego Arsenalu powiększyła się do 9 punktów, przy jednym meczu mniej od „Kanonierów”. Trener City Pep Guardiola nie składa jednak broni i zapowiada walkę o tytuł do końca.

Arsenal pokonał na Emirates Everton 2:0, choć premierowego gola dopiero w 89. minucie zdobył szwedzki napastnik Viktor Gyökeres. W doliczonym czasie wynik ustalił wychowanek „Kanonierów” Max Dowman, zostając najmłodszym strzelcem gola w historii Premier League. Trafił do siatki „The Toffees”, mając zaledwie 16 lat i 73 dni. Dotychczas rekor-

dziście był James Vaughan, który w 2005 roku z bramki zdobytej dla Evertonu cieszył się mając 16 lat i 270 dni.

PREMIER LEAGUE

30. kolejka: Sunderland - Brighton & Hove Albion 0:1, Burnley - Bournemouth 0:0, Chelsea Londyn - Newcastle United 0:1, Arsenal Londyn - Everton 2:0, West Ham United - Manchester City 1:1.

FRANCJA

W Ligue 1 porażkę 0:1 w Lorient poniosło Lens, tracąc dyktando do liderującego Paris Saint-Germain. Trzecie w tabeli Olympique Marsylia pokonało otwierające strefę spadkową Auxerre 1:0 po голу algierskiego rezerwowego Amine’a Gouiriego.

LIGUE 1

26. kolejka: Olympique Marsylia - Auxerre 1:0, Lorient - Lens 2:1, Angers - OGC Nice 0:2, AS Monaco - Brest 2:0.

HISZPANIA

Goniący Barcelonę Real Madryt bez kontuzjowanego Kyliana Mbappe rozgromił Elche 4:1. Efektowną bramkę z dystansu na 2:0 zdobył Urugwajczyk Federico Valverde, który w środę popisał się hat-trickiem w pierwszym meczu 1/8 finału Ligi Mistrzów z Manchesterem City (3:0).



Piotr Zieliński wraz z partnerami z Interu Mediolan gratuluje Pio Esposito zdobycia gola z Atalantą Bergamo

Real w lidze nie przegrał z Elche od 1978 roku, a u siebie nigdy nie poniósł porażki. Nie stracił też jeszcze żadnego punktu w tym sezonie La Liga, gdy jako pierwszy zdobył bramkę. Elche nie wygrało żadnego z ostatnich 11 ligowych meczów i zajmuje 17. miejsce.

LA LIGA

28. kolejka: Deportivo Alaves - Villarreal 1:1, Girona - Athletic Bilbao 3:0, Atletico Madryt -

Getafe 1:0, Real Oviedo - Valencia 1:0, Real Madryt - Elche 4:1.

NIEMCY

Prowadzący w tabeli obrońca tytułu Bayern Monachium zremisował na wyjeździe z Bayerem Leverkusen 1:1.

Bawarczycy kończyli mecz w dziewiątkę po czerwonych kartkach dla Nicolasa Jacksona w 42. minucie i Luisa Diaza w 84. minucie.

Już w 6. minucie prowadzenie „Aptekarzom” dał Aleix Garcia. Do remisu w 69. minucie doprowadził Diaz. Kwadrans później Kolumbijczyk został ukarany drugą żółtą kartką.

W piątkowym meczu St. Pauli przegrało 0:2 na wyjeździe z Borussia Moenchengladbach. „Korsarzom” nie pomogli obrońca Adam Dźwigala (grał do 67. minuty) i pomocnik Arkadiusz Pyrka, zmieniony w 88. minucie.

BUNDESLIGA

26. kolejka: Borussia Moenchengladbach - St. Pauli 2:0, TSG Hoffenheim - VfL Wolfsburg 1:1, Borussia Dortmund - FC Augsburg 2:0, Eintracht Frankfurt - Heidenheim 1:0, Bayer Leverkusen - Bayern Monachium 1:1, Hamburger SV - 1.FC Koeln 1:1.

WŁOCHY

Prowadzący w tabeli Serie A Inter Mediolan, w składzie z Piotrem Zielińskim, zremisował u siebie z Atalantą Bergamo 1:1. W drużynie gości do 65. minuty grał Nicola Zalewski. Gospodarze prowadzili po bramce Francesco Esposito (26.), ale w końcówce do wyrównania doprowadził Czarnogórzec Nikola Krstović (83.). Atalanta nie przegrała na wyjeździe z Interem po raz pierwszy od września 2021 roku. Na zwycięstwo nad tym

rywalem czeka od 2018, a na wygraną z nim na San Siro - od 2014.

Juventus Turyn wygrał na wyjeździe z Udinese 1:0 po голу Iworyjczyka Jeremiego Bogi w 38. minucie.

W kadrze gości znalazł się pauzujący od blisko dwóch lat Arkadiusz Milik, ale nie wstał z ławki rezerwowych. W zespole gospodarzy Jakub Piotrowski w 77. minucie zmienił Szweda Jespera Karlstroema, który kiedyś występował w Lechu Poznań. Na ławce rezerwowych zabrakło miejsca dla Adama Buksy.

Juve wygrał dziewięć z ostatnich 10 starć z Udinese w lidze i Pucharze Włoch. Triumfował także w czterech kolejnych meczach w Udine, nie tracąc przy tym gola.

Broniące tytułu Napoli na Stadio Diego Armando Maradona wygrało z Lecce 2:1, choć przegrywało od 3. minuty po голу Niemca Jamila Sieberta. W drugiej połowie bramki dla gospodarzy zdobyli Duńczyk Rasmus Højlund i Matteo Politano.

SERIE A

29. kolejka: Torino - Parma 4:1, Inter Mediolan - Atalanta Bergamo 1:1, Napoli - Lecce 2:1, Udinese - Juventus Turyn 0:1. ©©

Maciej Wyderka, jakiego nie znacie. Luz i brawura

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

To, czego dokonał na początku lutego tego roku, na znanym i prestiżowym halowym mityngu lekkoatletycznym „Czech Indoor Gala” w pobliskiej Ostrawie, musi budzić najwyższy szacunek.

O równe pół sekundy poprawił kultowy rekord kraju w biegu na 800 metrów pod dachem. Na mecie w „Atletická hala” zmierzono chłopakowi z Górnego Śląska 1:44.07!

W 2012 roku, w słynnej „Arena Stade Couvert” we francuskim Liévin, Adam Kszczot - specjalista od biegów halowych - uzyskał ledwie 1:44.57...

Po biegu w Ostrawie, niespełna 24-letni Maciej Wyderka - bo o nim mowa - przesunął się na 6. miejsce w światowych tabelach historycznych w biegu na 800 metrów w hali i na 4. w europejskich!

Kilka dni później młodzieńcy Amerykanin Cooper Lutkenhaus uzyskał lepszy czas od Polaka (1:44.03).

Miedzyczasem Macieja Wyderki w Ostrawie - 200 metrów:

26.0, 400 metrów: 52.0, 600 metrów: 1:18.00.

Co ciekawe - trochę naciągane - tabelę punktową World Athletics „wyceniły” czas Wyderki na 1261 punktów, a stadionowy rekord Polski Pawła Czapiewskiego (1:43.22) na 1228...

Poznajmy zatem milera, który może zdemolować światowe bieganie w tej konkurencji.

Duma?

Pobiegłem szybciej niż w poprzednim sezonie na stadionie. Latem byłem gotowy biegać poniżej 1:44.00, ale brakowało trochę mocniejszych biegów, trochę szczęścia i w efekcie mam lepszą „życiówkę” w hali niż na stadionie, ale myślę, że to się zmieni i latem uzyskam wynik adekwatny do moich możliwości.

Lubisz udzielać wywiadów?

Mam ich ostatnio sporo, no więc... chyba lubię.

Tradycje rodzinne - była inna droga życiowa niż sport?

Lekkoatletyka wzięła się z wyboru szkoły. Po szkole podstawowej wybrałem Szkołę Mistrzostwa Sportowego w Byto-



FOT. YUICHI YAMAZAKI/AFP/FEAST NEWS

W tym sezonie młody, fajny chłopak z Piekar Śląskich robi prawdziwą furorę

miu i tam miałem klasę o profilu lekkoatletycznym. W mojej rodzinie nigdy nie było zamiłowania do biegania, nikt nie uprawiał tej formy ruchowej. Zatem, w mojej rodzinie jestem prekursorem biegania.

Od początku wiedziałeś, że to będą biegi średnie?

Dokładnie.

Masz dziewczynę?

Tak, ma na imię Michalina.

Wspólne plany?

Pytanie zbyt odległe sięgające w przyszłość. Płyniemy z prądem... Nie chcemy niczego przyspieszać.

Hobby?

Escape roomy, gokarty, gry komputerowe.

Gry komputerowe - to znaczy?

Bardzo różnie. Jestem fanem horrorów, to może „Resident Evil”, najnowsza wersja.

Wojna na Ukrainie...

Nie znam się, nie wypowiadam się na ten temat.

800 czy 1500 metrów?

Zdecydowanie 800 metrów.

Stadion czy hala?

Pewnie, że stadion. Można „wykręcać” lepsze wyniki.

Zima czy lato?

Oczywiście, że lato. Jaki Polak lubi zimę?

Hiszpania czy Norwegia?

Hiszpania, preferuję cieplejsze kraje.

Kawa czy herbata?

Jak najbardziej kawa.

Chińszczyzna czy schabowy?

Prosty człowiek jestem - wybieram schabowy.

Czarne czy białe?

Czarne.

Dolary czy euro?

Euro, teraz ma większą wartość.

Piwo czy wino?

Jak już mam wybierać - piwo. ©P

Szóstka Polaków w TOP 3 zgłoszeń na halowe mistrzostwa świata w Toruniu

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Sezon lekkoatletyczny w pełni. Po drugiej stronie oceanu byliśmy świadkami rzeczy niezwykłych. A nasi sportowcy rywalizowali w uroklivej Nikozji w Pucharze Europy w rzutach. Z jakim skutkiem?

Po raz drugi z rzędu Puchar Europy w rzutach gościł na Wyspie Afrodyty. To już 25. edycja zawodów organizowanych na powietrzu w sezonie... halowym.

Na „Narodowym Stadionie Lekkoatletycznym” w Nikozji 23-letni Damian Rodziak (LUKS Orkan Września) pacnął dyskiem na odległość 62.00 m.

Wśród najważniejszych wydarzeń Pucharu Europy w rzutach znalazły się - zwycięstwo Finki Silji Kosonen w rzucie młotem (77.07 m) i Serbki Adrian Vilogos w rzucie oszczepem (66.88 m).

Jednak przed nami najważniejsza impreza sezonu halowego - mistrzostwa świata.

Prezentujemy Państwu miejsc Polaków w TOP 10 list światowych zgłoszeń na HMS (Toruń (20-22 marca 2026):

=1. Jakub Szymański (60 metrów przez płotki)
2. Paulina Ligarska (pięciobój)

=2. Pia Skrzyszowska (60 metrów przez płotki)

=2. Mateusz Kołodziej (wzwyż)

3. Maria Żodzik (wzwyż)
3. Natalia Bukowiecka (400 metrów)

4. Maciej Wyderka (800 metrów)

4. Adrianna Sułek-Schubert (pięciobój)

7. Klaudia Kazimierska (1500 metrów)

7. Anna Matuszewicz (w dal)

8. Filip Ostrowski (800 metrów)

=10. Ewa Swoboda (60 metrów)

=10. Anna Wielgosz (800 metrów)

Zatem szóstka reprezentantów Polski znajduje się w TOP 3 zgłoszeń na lekkoatletyczne halowe mistrzostwa świata w Toruniu (20-22 marca).

Płotkarz Jakub Szymański ma - ex aequo - najlepszy wynik z zawodników, którzy wystartują w Polsce (Amerykanie - Trey Cunningham i Dylan Beard).

- Jest dwóch Amerykanów i jestem ja - twierdzi Szymański. - Będziemy się bili o miejsca na podium podczas mistrzostw świata w Toruniu. W finale globalnego czempionatu będzie ostateczna rywalizacja. Zoba-



FOT. TOBIAS SCHWARZ/AFP/FEAST NEWS

Bez wątpienia nasz Jakub Szymański jest jednym z kandydatów do medali na zbliżających się HMS w Toruniu

czymy, kto wytrzyma. Oczywiście, to się nie musi udać, ale nie ma się czego bać.

- Wiemy, kto jest mocny na świecie, wiemy, że trzeba się ścigać - mówi z kolei Pia Skrzyszowska. - Wiemy też, że obecnie płotki to jedna z najmocniejszych konkurencji w światowej lekkiej atletyce. Mnie cieszy stabilizacja w tym roku, jestem z niej zadowolona. Kibice podczas mityngu Orlen Copernicus

Cup w Toruniu dopisali. Byłam to w stanie odczuć i było to bardzo miłe. Pomaga mi to i mobilizuje do tego, aby było lepiej, szybciej. Myślę, że podczas mistrzostw świata ten doping będzie odczuwalny jeszcze bardziej.

Natalia Bukowiecka ma trzeci wynik na listach zgłoszeń do halowych mistrzostw świata w Toruniu w biegu na 400 metrów.

- Mamy w tym roku większe nadzieje, bo mamy zawodników w czołówkach list światowych w tym sezonie w poszczególnych konkurencjach - wyjaśnia Natalia Bukowiecka. - Wiadomo, że listy nie biegają i nie skaczą, i trzeba się dobrze zaprezentować na imprezie docelowej. To, że startujemy przed własną publicznością i dobrze znamy halę w Toruniu, da nam pewną przewagę i zdobędziemy więcej niż jeden medal.

Dwie szanse medalowe

Jednocześnie przyznała, że nierealne jest z uwagi na program mistrzostw połączenie startów indywidualnych z występami zarówno w sztafecie mieszanej 4x400 metrów, jak i żeńskiej.

- W moim przypadku będą to więc dwie szanse medalowe. Będziemy reagowali na bieżąco. Mam nadzieję, że awansuję do finału indywidualnego i tam będę walczyła o medal, ale gdyby się to nie udało, to tylko w takim wypadku możliwe jest wystartowanie w finale miksta. W sztafecie z koleżankami, co pokazuje ten sezon, będziemy bardzo mocnie - oceniła Bukowiecka.

Były prezes PZLA Jerzy Skucha przekazał, że jego zdaniem

szanse medalowe mają Jakub Szymański, wieloboistki, Maria Żodzik, Maciej Wyderka, Natalia Bukowiecka i polski mikst, jeżeli wystartuje w najsilniejszym składzie.

- Stawiam na trzy medale Polaków - ocenił doświadczony działacz.

Ameryka szaleje

Etiopka Fotyen Tesfay wygrała maraton w Barcelonie, uzyskując rekord kraju 2:10:53. To drugi czas w światowych tabelach historycznych (po 2:09:56 Kenijki Ruth Chepngetich 13 października 2024 roku w Chicago) i najszybszy debiut w historii maratonu!

Ale najciekawsze rzeczy działy się podczas halowych mistrzostw NCAA, których gospodarzem była „Randal Tyson Center” w Fayetteville w stanie Arkansas.

Mało znany Ja’Kobe Tharp (nie przyleci do Torunia na HMS w Toruniu) wygrywa bieg na dystansie 660 metrów przez płotki w czasie 7.32. A to oznacza najlepszy w tym roku wynik na świecie i trzecie miejsce w światowych tabelach historycznych (7.27 pobiegł Grant Holloway i 7.30 Colin Jackson).

Co na to nasz Jakub Szymański ze swoimi 7.37 i rekordem Polski? ©P

Dwa medale Polaka na paralimpiadzie w Italii

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Michał Gołaś wraz z przewodnikiem Kacprem Walasem zdobył dwa medale podczas Zimowych Igrzysk Paralimpijskich Mediolan-Cortina 2026.

Najpierw Gołaś zdobył brąz w alpejskim slalomie gigancie, a w niedzielę dorzucił jeszcze srebrny medal w slalomie.

Polak startował w kategorii niewidomi i niedowidzący. To pierwsze od ośmiu lat medale dla Biało-Czerwonych na igrzyskach paralimpijskich.

Polki bliżej Eurobasketu

Reprezentacja Polski koszykarek pokonała w Sybinie Rumunię 75:50 w 5. kolejce grupy C pierwszego etapu eliminacji mistrzostw Europy 2027. Polki z kompletem zwycięstw są pewne udziału w kolejnej fazie kwalifikacji Eurobasketu, który po raz drugi z rzędu odbędzie się w czterech krajach: Belgii, Finlandii, Szwecji i na Litwie. Ostatnie spotkanie na tym etapie Biało-Czerwone rozegrają we wtorek z Cypryjkami w Limassol. Druga faza eliminacji rozpocznie się w listopadzie.

Podobnie jak na igrzyskach

Bez sukcesów wracają do kraju reprezentanci Polski w short tracku z mistrzostw świata, które odbyły się w Montrealu. Kobięca sztafeta w składzie: Natalia Maliszewska, Nikola Mazur, Gabriela Topolska i Kornelia Woźniak zajęła szóste miejsce. Siódmą pozycję na 500 metrów zajął Felix Pigeon.

Sztafeta mieszana, w składzie Łukasz Kuczyński, Felix Pigeon, Natalia Maliszewska i Ni-

kola Mazur, została zdyskwalifikowana w półfinale. W półfinale na 1000 m odpadły Topolska i Mazur.

Król-Walas w „10”

W Pucharze Świata w snowboardzie w kanadyjskim Val Saint-Come - w slalomie gigancie równoległym - Aleksandra Król-Walas zajęła 10. miejsce. Także już w 1/8 finału odpadła Olimpia Kwiatkowska sklasyfikowana na 14. pozycji.

Maria Bukowska-Chyc odpadła w kwalifikacjach, zajmując 20. miejsce. Nie poradziła sobie również Oskar Kwiatkowski (27.) i Michał Nowaczyk (29.).

Polki daleko w PŚ w biathlonie

Jan Guńka i Anna Mąka zajęły piąte miejsce w supermikście, pojedynczej sztafecie mieszanej podczas zawodów Pucharu Świata w biathlonie w estońskim Otepäe. To najlepszy wynik Polaków w tej konkurencji w historii pucharowych startów.

Natalia Sidorowicz była 29. w biegu na dochodzenie na 10 km. Kamila Żuk 32., Anna Mąka 33., a Joanna Jakieła 54. Przedostatnie miejsce w biegu na 12,5 km na dochodzenie zajął Jan Guńka.

Semirunnij mistrzem Polski

Włodimir Semirunnij (Pilica Tomaszów Maz.) i Zofia Braun (Stegny Warszawa) zdobyli złote medale wieloboju mistrzostw Polski w łyżwiarstwie szybkim, które podczas weekendu odbyły się w Arenie Lodowej w Tomaszowie Mazowieckim. W sprinterskim wieloboju tytuły wywalczyli Wiktoria Dąbrowska (Korona Wilanów) i Mateusz Mikołajuk (Juwenia Białystok). ©©



Michał Gołaś wraz z przewodnikiem Kacprem Walasem zdobył dwa medale na igrzyskach paralimpijskich

Tenis Popis żenady Igi Świątek po porażce w 1/4 finału Indian Wells WŚCIEKŁA „KRÓLOWA PUSTYNI”

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Iga Świątek w fatalnym stylu pożegnała się z Indian Wells. Uległa w ćwierćfinale zajmującej dziewiąte miejsce w rankingu Ukraince Elinie Switolinie 6:2, 4:6, 6:4, nie trzymając nerwów na wodzy.

Iga Świątek sfrustrowana porażką rzuciła w kort ręcznikiem i wdała się w żenującą pyskówkę z wulgaryzmami ze swoją pokrzykującą z boku psycholożką Darią Abramowicz.

„Wczorajszy mecz nie poszedł po mojej myśli. To nie był mój najlepszy dzień, na pewno nie był to mój najlepszy występ. To trudne, ale takie sytuacje są częścią życia sportowego. Dziękuję wszystkim za wsparcie. Ciężka praca się nie kończy. Do zobaczenia w Miami” - zapostowała na Instagramie Iga.

Ani słowa w mediach społecznościowych czy też rozmowie z CanalPlus Świątek nie poświęciła relacjom z psycholog.

W czterech poprzednich edycjach turnieju WTA 1000 na kalifornijskiej pustyni w Indian Wells dotarła co najmniej do półfinału, a dwie - w 2022 i 2024 roku - wygrała, dzięki czemu zyskała miano „Królowej Pustyni”. Tym razem została zdezonizowana w ćwierćfinale.

Strata punktów kosztowała Świątek utratę pozycji wiceli-



Zdezonizowana i sfrustrowana „Królowa Pustyni” w Indian Wells - Iga Świątek

derki światowego rankingu, którą zajmowała od 18 sierpnia ubiegłego roku. Szansy na osiągnięcie po raz pierwszy drugiego miejsca na liście WTA nie zmarnowała reprezentująca Kazachstan Jelena Rybakina, która awansowała do finału w Tennis Paradise, gdzie zmierzyła się z pierwszą raketą świata Białorusinką Aryną Sabalenką.

Konsekwencją porażki Świątek ze Switoliną, oprócz nagłego przerwania starań Polki o trzecią koronę na kalifornijskiej pustyni, jest potwierdzenie negatywnego bilansu,

jakiego nigdy wcześniej nie zanotowała w swojej udanej karierze.

Po przegranej z Ukrainką po raz pierwszy w historii seria porażek Świątek z rzędu z zawodniczkami z czołowej dziesiątki rankingu wzrosła do pięciu: Switolina (Indian Wells 2026), Rybakina (Australian Open 2026), „Coco” Gauff (United Cup 2026), Amanda Anisimova (WTA Finals 2025) i ponownie Rybakina (WTA Finals 2025).

Poza drużynowym United Cup Iga nie awansowała w tym roku do półfinału żadnego tur-

nieju. Na drugą część Sunshine Double - Miami Open pojedzie z bilansem zwycięstw na poziomie 71 procent, najniższym od 2019 roku, kiedy w tym samym okresie miała bilans 63 procent, czyli w swoim pierwszym roku w tourze WTA.

Następnym wyzwaniem Igi będzie WTA 1000 w Miami, gdzie główny turniej rozpocznie się we wtorek. 24-latką będzie walczyć o swój drugi tytuł Miami Open, po triumfie na Florydzie w 2022 roku. W 2023 roku nie wystartowała, w 2024 dotarła do IV rundy, a rok temu do ćwierćfinału. ©©

Adam Godlewski

„Krótka piłka”



NONSENS DRUGIEGO STOPNIA

Już od ponad tygodnia jesteśmy świadkami serialu zatytułowanego: „Kto i w jaki sposób zawiął, że mecz Śląsk - Wisła w pierwszej lidze nie został rozegrany”. Dodajmy - serialu nikomu niepotrzebnego i zawstydzającego nasz futbol zarówno w kraju, jak i za granicą. Bo szopka, która rozgrywa się wokół tego nieodbytego spotkania, odbiła się echem również na arenie międzynarodowej. Niestety...

Głównymi aktorami tej „dramy” zostali Remigiusz Jezierski i Jarosław Królewski, a zatem - w kolejności - prezesi klubów z Wrocławia i Krakowa. Pierwszy, zanim porwał się na zarządzanie Śląskiem, porządził sobie w dwóch mocno kon-

kurencyjnych specjalnościach; najpierw był piłkarzem ekstraklasy, a potem komentatorem w branżowym Canal+. Miał zatem podstawy i dość doświadczenia, aby zakładać, że da sobie radę również jako szef klubu. Królewski też grał w piłkę, choć na znacznie niższym poziomie, przebił się za to do najwyższej ligi w biznesie; i to jako lider innowacyjności. Słowem, spotkało się dwóch bystrych gości, tyle tylko, że niezdolnych do jakiegokolwiek dialogu. Co już skutkowało trudnym do wytłumaczenia, skandalicznym bojkotem i orzeczeniem walkoweru.

A na tym nie koniec kar. I oby były... przykładowe, bo Jezierski z Królewskim najwyraźniej nie udźwignęli presji, której poddały

ich własne klubowe środowiska.

Prezes Śląska przyznał gdzieś nawet w przestrzeni publicznej, że nie poszedł na żadne ustępstwa, gdyż taka była wola/sugestia (niepotrzebne skreślić) kibiców. W domyśle - tych „kumatych”. Pewności, że za godną lepszej sprawy determinacją szefa Wisły nie stało podobne towarzystwo - także nie mamy. Zwłaszcza że to dość osobliwe grono, które od 2023 roku znajduje się na krajowym marginesie nawet tego marginesu fanów, który tworzą tzw. ultrasi. Słusznie, bądź niesłusznie - to temat na osobne opowiadanie...

Smutne fakty są takie, że choć weszliśmy już w drugie ćwierćwiecze XXI stulecia, to o tym, kto zasiądzie na trybunach - i czy mecz w ogóle zostanie rozegrany - może zadecydować margines marginesu. A dodatkowo przegnąb, że PZPN biernie stał z boku, konsekwentnie starając się przeczekać problem. W sytuacji, gdy od początku wiadomo, że ten sam się nie rozwiąże. I ze świadomością, że z gruntu

chore jest to, że prezes utrzymwanego z komunalnych środków klubu - co już samo w sobie jest kuriozum na skalę światową - bardziej obawia się reakcji „kumatych” niż zarzutu o niegodziwość. A chyba nikt nie ma wątpliwości, że jej znamiona wypierają brak wpływu za niedostarczoną rozrywkę sportową (a przecież Śląskowi grozi jeszcze wysoka kara), za którą słono - jako składawkę swoich podatków - płacą Wrocławianie.

Pan Remigiusz zapisał się w polskim futbolu jako autor - już oczywiście będąc komentatorem - analitycznego terminu: asysta drugiego stopnia. Teraz, niestety, wraz panem Jarosławem zmierzają do wykreowania określenia: idiotyzm drugiego stopnia. Bo doprowadzenie do bojkotu, i wynikających z niego strat - punktowych, finansowych, wizerunkowych - trudno określić innym mianem. Dyskusyjny może być tylko stopień zafundowanego publiczności nonsensu, w efekcie którego największych przegranym jest cały krajowy futbol...

Nam skakać nie kazano... Oslo nie dla Polaków

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Kacper Tomasiak był 22., Maciej Kot 25., Aleksander Zniszczoł 32., a Piotr Żyła 46. w pierwszym konkursie Pucharu Świata w skokach narciarskich w Oslo.

Na słynnym obiekcie „Holmenkollbakken (HS134), wygrał Szwajcar Gregor Deschwanden. A po pierwszej serii odpadł - co niektórym nawet się śniło - Słoweniec Domen Prevc, który zajął 42. miejsce.

Kacper Tomasiak skoczył 124,5 m i 119 m, za co otrzymał 233,3 pkt. Kot uzyskał 124,5 m i 117,5 m, co dało mu 218,1 pkt. Zniszczoł osiągnął 122,5 m i 110,3 pkt, a Żyła 117,5 m i 100,8 pkt. Nie startowali Kamil Stoch i Paweł Wąsek, którzy odpadli w piątkowych kwalifikacjach.

- W pierwszej serii spóźniłem odbicie, a w drugiej zbyt wcześnie wybiłem się z progu. Mam nadzieję, że w niedzielę będę miał większy automatyzm i oswoję się z tą skocznią - powiedział Tomasiak.

- Mój drugi zepsuty skok był wynikiem drobnego błędu h ocenił z kolei Maciej Kot.

Gregor Deschwanden otrzymał notę 263,1 pkt. po skokach na 132,5 m i 130,5 m. 35-latek odniósł pierwsze zwycięstwo w karierze i jest pierwszym Szwajcarem od 12 lat, który wygrał konkurs Pucharu Świata. Poprzednim był Simon Ammann w 2014 roku.

- Ostatnio, gdy byłem bliski zwycięstwa, to się nie udawało ze względu na słabsze lądowanie, ale tym razem wszystko działało, choć rywalizacja z Ortnerem była zacięta. Wiedziałem, że mogę bardzo dobrze skakać. W niedzielę znowu będę walczył. Nie chcę odpuszczać. Wiem, że mogę zaatakować w następnych konkursach - oświadczył Deschwanden, który w Predazzo zdobył brązowy medal olimpijski na skoczni normalnej.

Drugi, Austriak Maximilian Ortner, na „Holmenkollbakken” osiągnął 132 m i 126,5 m - 261,7 pkt., a trzeci Japończyk Naoki Nakamura - 128,5 i 129 m - 251,7 pkt.

- Gratuluję Gregorowi pierwszego zwycięstwa. To coś fantastycznego. Nikt się tego nie spo-



Kacper Tomasiak ponownie mierzy się ze światową elitą w Pucharze Świata

dziewał. To wyjątkowe podium w wyjątkowym miejscu - przekazał Ortner.

- To nie jest moja ulubiona skocznia narciarska. Nie czułem się tu zbyt komfortowo i swobodnie, ale stanąłem na podium. Udało mi się utrzymać równowagę i dlatego wszystko poszło dobrze. Trze-

cie miejsce to świetny wynik - ocenił Nakamura.

Lider klasyfikacji generalnej Pucharu Świata, Domen Prevc, skoczył 117,5 m i był 42.

- To wynikało z kilku czynników. Ten skok mógł być lepszy, ale nie udało mi się nawet awansować do drugiej serii. Wiele topowych zawodników miało pro-

blemy na tej skoczni. Taki jest sport. Muszę wyciągnąć z tego lekcję. Takie dni się zdarzają - oznajmił Prevc.

W klasyfikacji generalnej prowadzi Prevc, który ma 1894 pkt. i tydzień temu w fińskim Lahti zapewnił sobie pierwszą w karierze Kryształową Kulę. Drugie miejsce z dorobkiem 1173 pkt. zaj-

muje Japończyk Ryoyu Kobayashi, a trzeci jest Austriak Daniel Tschofenig - 1049 pkt. Najlepszy z Polaków, Tomasiak, zgromadził 384 pkt. i plasuje się na 17. pozycji.

Do końca sezonu zostało 5 konkursów indywidualnych: niedzielny w Oslo oraz po dwa w Vikersund i Planicy na skoczniach mamucich.

Puchar Świat - sobota:

1. Gregor Deschwanden (Szwajcaria) 263,1 (132,5/130,5),
2. Maximilian Ortner (Austria) 261,7 (132,0/126,5),
3. Naoki Nakamura (Japonia) 251,7 (128,5/129,0),
4. Daniel Tschofenig (Austria) 251,3 (125,0/130,5),
5. Ren Nikaido (Japonia) 250,6 (129,5/125,0),
6. Niko Kytösaho (Finlandia) 249,6 (131,0/125,5),
7. Johann Andre Forfang (Norwegia) 248,7 (128,5/124,5),
8. Antti Aalto (Finlandia) 248,0 (129,0/126,5),
9. Manuel Fettner (Austria) 244,0 (127,5/124,0),
10. Stephan Embacher (Austria) 242,3 (125,0/127,0)...
22. Kacper Tomasiak 223,3 (124,5/119,0),
25. Maciej Kot (Polska) 218,1 (124,5/117,5),
32. Aleksander Zniszczoł (Polska) 110,3 (122,5),
46. Piotr Żyła (Polska) 100,8 (117,5). ©

Do polskich skoków wróciła przeciętność. Paweł Wąsek cieniem samego siebie

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Rozmawiamy z Józefem Jarząbką, trenerem skoków narciarskich, pierwszym szkoleniowcem Dawida Kubackiego.

Polskie skoki znowu wracają do stanu sprzed igrzysk. Kolejne zawody i znów odległe miejsca Białe-Czerwone.

Ważne, że nasi skoczkowie po te medale sięgnęli i mamy powód do dumy. Co by nie mówić, to jest impreza życia dla wszystkich sportowców. Teraz wygląda to źle, ale na igrzyskach było znakomicie.

Ale jak to wytłumaczyć, że Paweł Wąsek, który potrafił się zmobilizować i przygotować szczytową formę na konkurs duetów, niespełna miesiąc później nie potrafi nawet przebrnąć kwalifikacji?

Nie ma co kryć, że pomogło nam szczęście. Ktoś musi je mieć, a ktoś inny ma akurat niefort. Warunki też były, jakie były, odwołano trzecią serię i udało się zdobyć medal w duetach, ale nikt o tym za chwilę nie będzie pamiętał, poza tym, że wywalczyliśmy srebrny medal.

A może to był też duży kunszt trenera Macieja Maciusiaka, że potrafił dokonać właściwego wyboru, powołując na igrzyska właśnie Wąskę, który przez cały sezon skakał słabo?

Paweł przed igrzyskami był mocno oszczędzany i może to właśnie zapoczątkowało. Przed wyjazdem do Włoch praktycznie nigdzie nie skakał, mógł w spokoju trenować. Pomogło nam niewątpliwie szczęście, ale na nim samym nie da się zbudować sukcesu.

Jest jednak powód do niepokoju, że zawodnik, który jednego dnia potrafi oddać dobre i równe skoki oraz poradzić sobie z presją, zaraz po tym prezentuje się mizernie?

Na pewno tak. Jeśli są wahania formy, to zawodnik się męczy. A jak się męczy, to pojawia się większy stres i koło się zamyka.

Wydaje się, że po wywalczeniu medalu na igrzyskach stresu u Wąskę powinno być mniej, a teraz wszystko będzie już tylko łatwiejsze.

Też tak myślałem, że, mówiąc kolokwialnie, Pawłowi puści głowa, że będzie już z górki. Niestety, teraz jego forma jest



Paweł Wąsek (na zdjęciu po prawej) zupełnie zatracił formę z igrzysk w Italii. Jest cieniem samego siebie

taka sama, jak niemal podczas całego sezonu. Trudno powiedzieć, dlaczego znowu skacze słabo.

Kacper Tomasiak po igrzyskach zdobył jeszcze srebro w mistrzostwach świata juniorów, ale w Pucharze Świata też nie prezentuje tej znakomitej dyspozycji z Predazzo. Kacper pojechał na ostatnie zawody z marszu, bez przygo-

towania. To jest bardzo młody zawodnik, w tym sezonie miał mnóstwo startów i może odczuwać zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

Przed nami ostatnie konkursy Pucharu Świata. Białe-Czerwoni sprawią jeszcze jakąś miłą niespodziankę?

Myślę, że Piotr Żyła może zająć miejsce w pierwszej dziesiątce w lotach w Vikersund,

czy Planicy. Ciekaw jestem, jak w konkursach na mamutach poradzi sobie Kacper Tomasiak, dla którego to będą pierwsze zawody w karierze na tak gigantycznych skoczniach. Pozostali nasi reprezentanci skaczą przeciętnie i trudno się spodziewać, aby zaskoczyli właśnie na koniec sezonu. Jak nie idzie i nie jest się w formie, to się kombinuje, a jak się kombinuje, to skoki potrafią pójść zarówno w dobrą, jak i jeszcze gorszą stronę.

Jak zatem pan podsumuje kończący się sezon? Z jednej strony trzy medale igrzysk, z drugiej przeciętność w konkursach Pucharu Świata. Polakowi nie udało się zająć miejsca na podium.

To nie będzie łatwa ocena, bo igrzyska wypadły fenomenalne, a poza tym było słabo. Tylko Tomasiak prezentował się dobrze. Reszta miała niewielkie przebieżki w pojedynczych konkursach, ale to o wiele za mało w stosunku do oczekiwań.

Tomasiak będzie w stanie powalczyć o podium w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata?

Na pewno stać go na to. Musi jeszcze trochę popracować

nad techniką lotu. Jeśli to zrobi, to będzie w czołówce. Zobaczymy też, jak będzie pracował w okresie przygotowawczym.

Dawid Kubacki, w stosunku do poprzedniego sezonu, zanotował chyba nawet regres.

Mam nadzieję, że może w przyszłym sezonie coś się zmieni i pójdzie w dobrą stronę.

Jest nadzieja, że w nowym sezonie zobaczymy w reprezentacji Polski kolejne objawienie, choćby porównywalne do talentu Tomasiaka?

Mamy kilku wyróżniających się zawodników, jak Łukasz Łukaszczuk, Kamil Waszek czy Klemens Joniak. Mamy talenty, z których naprawdę możemy się cieszyć i to już w niedalekiej przyszłości.

Nie ma ryzyka, że kolejne talenty po udanej karierze w kategorii juniora znów przepadną? Takie historie w polskich skokach już były.

Ono zawsze jest, zwłaszcza gdy w okresie przejścia do wieku seniora skoczkowie nie mają odpowiedniego wsparcia. Oby w ich przypadku to się nie powtórzyło... ©

MAGAZYN

SPORTOWY24

16.03.2026

Iga Świątek w Indian Wells nie przełamała tegorocznej niemocy, odpadła już w ćwierćfinale. Teraz formy będzie poszukiwała w Miami STR. 22



FOT. PAP/EP

Rankingowe zjazdy tenisowej gwiazdy

**WYWIAD TYGODNIA.
DLACZEGO WĄSEK
ZNÓW JEST CIENIEM
SKOCZKA Z IGRZYSK?
STR. 23**

**Lekkoatletyka.
Rozmowa z Maciejem
Wyderką – biegaczem,
jakiego... nie znacie
STR. 21**

**Piłka nożna. Grzegorz
Kapica, były król
strzelców: Nauczmy się
cenić własne sukcesy
STR. 20**

SPORTOWY24.PL